

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 25 MAJA 1929 ROKU

NR. 21

TREŚĆ NUMERU: Dziecko — *Natalja Jastrzębska*. Świat dziecka a rodzina i społeczeństwo — *Jadwiga Krwoczyńska*. Poezje: „Niedola“ — *Lucyna Krzemieniecka*. Zawalidroga (powieść) c. d. — *Herminja Naglerowa*. Dnie pogodne — *Halina Dąbrowska*. Jeszcze o dzieciach zebranych — *Zofja Miszewska*. Na chwilę przed otwarciem — *Stefanja Podhorska-Okóło*. Na marginesie wystawy francuskiej — *J. Z teatrów—S. P. O.* Z książek—*S. P. O.* Książki nadesłane do Redakcji. Kobieta w świecie i w domu. Sztuka a kobieta i wewnątrz jej domu — *Zofja Drabikowa*. Placówki gospodarcze dla kobiet. — *M. Karczewska*. Wartość czasu — *M. Dobromolska*. Źródła witamin — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Lato wykwiłne—*Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

W związku z kończącym się „Tygodniem dziecka“ i naznaczonym na ostatnią niedzielę maja „Dniem matki“, podajemy w niniejszym numerze „Bluszczu“ szereg artykułów, poświęconych dziecku w rodzinie i społeczeństwie.

DZIECKO

Najcenniejszym skarbem każdego człowieka, a zwłaszcza kobiety — jest dziecko.

Nic nie wiąże nas tak osobiście z życiem, nie daje mu tak bezpośredniego uroku, celu i sensu istnienia, nie życia samego nie czyni tak żywotnym, jak miłość do dzieci, wychowanie ich, oddanie się im całą swą istotą.

Są to rzeczy zbyt znane, aby długo o nich mówić; cudowna mądrość natury spełnia tu jakby podwójny ukryty cel: przedłuża istnienie każdego poszczególnego człowieka w jego potomstwie, budując jednocześnie gmach przyszłości społeczeństwa i narodu, przechowując wszystkie jego właściwości i cele.

I dlatego dzieci i młodzież są skarbem podwójnym niejako: własnością i najwyższym dobrem swych rodziców z jednej — własnością i bogactwem ogólnym z drugiej strony.

Polska należy do szczęśliwych krajów, które mają dzieci. Znamienny był fakt, jak zmarły bohater francuski, marszałek Foch, podczas swej bytności w Polsce, obserwował na każdym kroku polskie dzieci, z zachwytem wyrażając się o ich ilości.

Tak, wyludnienie nam nie grozi; możemy cie-

żyć się przyszłością naszą, patrząc na dziesiątki i setki dziatwy w szkołach, na placach zabaw, w ogrodach, w mieście i na wsi.

Nie wystarcza jednak radość — myśleć nam trzeba obok niej o tem, jak najlepiej, najbardziej celowo prowadzić w życiu nasze dzieci.

Obowiązki te wydają nam się pozornie łatwe i wdzięczne — najmilej przecież jest pracować około tego, co kochamy. W gruncie rzeczy są bardzo trudne i skomplikowane.

Dziela się one na podwójny zakres pracy: prywatne wychowanie dzieci, jako zadanie każdego rodziców, i staranie o ochronę dziecka, jego życia i zdrowia, charakteru i wykształcenia — jako zadanie publiczne, społeczeństwa i państwa.

W obu tych dziedzinach ważna rola przypada kobiecie. Ona jest pierwszą karmicielką i wychowawczynią dzieci własnych; ona również zajmuje najwięcej miejsc, wypełnia najważniejsze zadania zarówno w szkołach, jak we wszelkich ochronach, żłobkach i zakładach publicznego wychowania.

To też nie możemy nigdy zawieść zastanawiać się nad naszym stosunkiem zarówno do dziecka wła-

snego, jak i do ochrony macierzyństwa i ochrony dziecka w społeczeństwie.

Jaki jest czynnik najważniejszy, zasadniczy motyw, który wydobyć należy w wychowaniu swoich dzieci?

Jest to połączenie zrównoważone i mądre tego, co my dziecku dajemy — naszego charakteru, zasad i przekonań — z tem, co przynosi w sobie charakter dziecka, jako odrębnej jednostki, jako przyszłego człowieka. A ten właśnie zasadniczy motyw, idea przewodnia wychowania jest zbyt często niedoceniana, zamała się o niej mówi, schodzi ona na drugi plan wobec innych wskazań — higienicznych i wychowawczych — bezwzględnie ważnych i koniecznych do zachowania, lecz takich, które nie powinny nam jednak zasłaniać tego, głównego celu. Niedostateczne zrozumienie, nie dość głębokie przemyślenie naszego stosunku do dziecka, nieodnalezienie w tym stosunku owego zasadniczego czynnika — wytwarza dwa biegunowo przeciwne, a najczęściej spotykane błędy rodziców-wychowawców. Jedni chcą zrobić ze swych dzieci ludzi na obraz i podobieństwo własne, narzucając im despotycznie, jako wzór, siebie, swój charakter i upodobania; drudzy przeciwnie: skrajni indywidualiści, zostawiają swe dzieci psychicznie samym sobie, nie dając im nic prócz zewnętrznej, niejako materialnej opieki wychowawczej.

A tymczasem istotne wychowanie polega właśnie na zastosowaniu obu tych pierwiastków.

Mamy w ręku cudowne tworzywo, materiał żywy o nieskończonej liczbie wibracji i możliwości psychicznych — wlejmy weń cząstkę naszej duszy, tak, jak daliśmy mu nasze ciało, kształtując jednocześnie to, co jest odrębną jaźnią przyszłego człowieka.

I aczkolwiek, powtarzam, ważną jest rola matki-wychowawczynie, nie mogę zgodzić się z utartą i zbyt już ciągle powtarzaną opinią, że *tylko ona* to zadanie spełniać powinna. Jest to obowiązek *obojga rodziców*. Obowiązek, wymagający głębokiego przemyślenia i poważnego przygotowania, ale bynajmniej nie tak trudny, aby nie mógł spełnić go, łącznie z matką, nawet bardzo zapracowany ojciec. Boże mój! a więc kobieta nie jest zapracowana, mając również, tak często obecnie, obowiązki zawodowe i wychowując jednocześnie dzieci!?

Nie jest to praca, wymagająca nieustannego przebywania z dziećmi. Nie. Jedno nieraz w odpowiedniej chwili wypowiedziane zdanie, wypuklenie i podkreślenie pewnych spraw, z dziećmi omawianych — wystarczą. Ileż widzimy przykładów, gdy mniej przebywający z dziećmi ojciec, lub pracująca

poza domem matka umięją w krótkich chwilach obcowania z dziećmi uzyskać na nie wpływ, dać im cząstkę swojej duszy i kształtować duszę dziecka.

Niezachowanie tego zasadniczego postulatu wytwarza zawsze rozdźwięk. Rodzice despotyczni, narzucający dzieciom wyłącznie swoje „ja”, nie mogą wytworzyć między sobą a dziećmi spójni i miłości; rodzice, zostawiający dzieci duchowo wyłącznie im samym, będą mieli również dzieci obce i prędko się z nimi rozejdą.

Tylko mądre, pozbawione wszelkich cech egoizmu, oddanie dziecku swych najlepszych wartości duchowych, najlepszej cząstki swej jaźni, przy bacznej, czujnej wychowawczym rozwijaniu jaźni dziecka — wytworzy między niem a rodzicami nierozdzielalną spójnię duchową i wychowa człowieka, łączącego przeszłość z przyszłością, „arkę przymierza między dawnymi a nowymi laty”.

To zadanie rodziców w stosunku do dzieci własnych — wychowanie prywatne.

A wychowanie publiczne?

Daleko nam jeszcze w tym zakresie do ideału, bardzo daleko. Nie mamy dostatecznej ilości zakładów wychowawczych, setki niemowląt giną corocznie z braku opieki.

Smutne, bardzo smutne!

A jednak nie można rąk opuszczać. Musimy dążyć do tego, aby zorganizować opiekę nad dzieckiem tak, jak jest ona zorganizowana we Francji, gdzie hasło: „place pour l'enfant“! jest naczelnym postulatem społecznym. Musimy dać każdej matce z jej niemowlęciem chleb i dach nad głową i możliwość wychowania dziecka i musimy jej mądrze w tem zadaniu dopomóc.

I tu właśnie jest wielka rola kobiety. Bo ona tylko potrafi być cudzym, obcym, opuszczonym i zaniedbanym moralnie dzieciom — matką.

A tym wydziedziczonym należy się nietylko materialna opieka. Należą im się również wszystkie wartości duchowe, to samo czujne i pieczołowite kształtowanie charakteru, to samo wszczepianie wszystkich zasad i wartości.

Oby już nigdy w Polsce nie było Studzieńca, oby z braku opieki nie rośli obywatele źli, lub ciemni i obojętni!

Nie grozi nam wyludnienie, mamy dzieci, ale o ileż potężniejszą będzie Polska, gdy każde z nich wyrośnie zdrowe fizycznie i duchowo.

Pamiętajmy o tem — kochajmy wszystkie polskie dzieci.

Natalja Jastrzębska.



JADWIGA KRAWCZYŃSKA

ŚWIAT DZIECKA, A RODZINA I SPOŁECZEŃSTWO

Kiedy przypada ten moment, rok, czy chwila, gdy dziecko uświadamia sobie swoją sytuację wśród otaczającego go świata — kiedy zjawia się pewność, że „ja“ — to odrębność, która z żadną inną istotą nie może być utożsamiona, ani wymieniona na inną formę fizyczną i umysłową — nie wiemy. Niema na to reguły dość ścisłej. Sami nie pamiętamy najczęściej, kiedy i jak się to stało, iż poczuliśmy się sobą.

U wielu dzieci — i to niekoniecznie zbyt bujnie rozwijających się — budzi się niezmiernie wcześnie poczucie osobowości własnej. Z morza fluidów, mgieł, chaosu wszechrzeczy, wyłoniła się nowa wartość ściśle określona, nowa indywidualność — słowem, nowy człowiek.

Jak się to stało, że dziecko wie, iż nie jest ani tą Marysią, ani tamtym Wojtusiem, że dzieli je nieprzebyta sfera od ulubionego jamnika lub nierozłącznego pajaca; że pragnie czegoś zupełnie innego, niż jego ojciec i matka; że wszystko, czego się dotknie, ma urok lub budzi wstręt, niezależnie od tego, jak na te same przedmioty i wrażenia reaguje otoczenie; że świat, który poznaje, z każdą chwilą szerszy, ma dla niego własną gamę dźwięków, barw, woni; że między całym nieogarniętym zbiorowiskiem ludzi, stworzeń, przedmiotów wytwarza się jakaś odrębna przestrzeń, jakaś droga, którą idzie ono tylko jedno i nikt inny iść nie może i nie pójdzie?...

Oto tak powstaje świat dziecka, świat człowieka. W niezbadany, nieuchwytny krąg ujęty, ciasny i maleńki zarazem i bezgraniczny, rozciągliwy, nieogarniony. Ale świat własny, jedyny, jaki może istnieć i jaki odtąd po wszystkie dni życia będzie dziedziną jego indywidualności.

Kto zbada, jakie są granice świata dziecka? Że nie jest on ani mniejszy, ani głębszy od świata dorosłych? Z własnych, zaćmionych przeżyć pamiętamy, iż horyzonty dzieciństwa nie są uboższe — chyba zaś bogatsze — od naszych dojrzałych, smutnie zrównoważonych obszarów odwagi myślenia i dążenia. Czyż nie zauważyliśmy, że nie było niemożliwości w świecie naszego dzieciństwa? Wszystko było do zdobycia i do osiągnięcia. Ileż razy powtarza się, iż lata dziecięce były lepsze i piękniejsze, niż wszystko, co potem przyszło? Ale nad znaczeniem tej spospolitej prawdy nie zatrzymujemy się i nie wyciągamy z niej wniosków i nie chce nam się zastosować jej w wychowaniu nowych pokoleń.

Nowy świat przynoszą z sobą nowe pokolenia — nowy i lepszy. Wierzą w to same i przecież na tem właśnie opiera się cała wiara tysięcy ludzkości

w postęp i doskonalenie się świata. Świat dziecka, świat lepszy, a przynajmniej taki, który może być lepszy, niż dotychczasowy, wywalcza sobie prawo do bytu i rozwoju, z konieczności wyodrębniając się, a często wręcz przeciwstawiając się światu dorosłych.

Nad tem prawem dziecka, nad prawem nowej indywidualności, która domaga się swego miejsca pod słońcem, przechodzi się zbyt często i zbyt nieopatrzenie do porządku dziennego.

Gdybyśmy więcej przywiązywali wagi do naszego własnego dzieciństwa, odkrylibyśmy może z niej jakimś zawstydzeniem, że nasza samodzielność myślenia i czynu, że logika i zasięg rozumowań, że zdolność do zabawy i rozrywki nie są tak bardzo oddalone od czasów, kiedy nie pytano nas o zdanie, jakkolwiek wówczas już mielibyśmy tak wiele i tak ciekawych i naprawdę mądrych rzeczy do powiedzenia!!

O sobie, o świecie, ludziach, zjawiskach, zwierzętach i przedmiotach, o rzeczywistości i poezji życia, o prawdzie i kłamstwie, o słuszności i krzywdzie — dziecko ma sądy własne, sądy „zdumiewające“, gdyż niesfałszowane jeszcze podszeptami świata dorosłych. Ludzie, obserwujący dzieci i dostatecznie szczerze ujmujący sprawę — przyznają, że od dzieci swoich i cudzych nauczyli się niezmiernie wiele prawdziwej i pięknej mądrości.

Dlatego z poważnym i głębokim szacunkiem odnoszą się do osobowości dziecka i przyznają mu niezaprzeczalne prawo do własnego świata.

Angielski system wychowawczy, polegający na stworzeniu dzieciom odrębnego, możliwie do ich potrzeb i rozwoju dostosowanego środowiska, jest w pewnym stopniu uwzględnieniem tego prawa. Mimo wielkiej różnicy rasowej i ekonomicznej i do nas przeniósł się już obyczaj, że dziecko od maleńkości ma swoje, tylko dla siebie odpowiednie apartamenty — swój pokój, swoje meble, zabawki, atmosferę, w której znajduje najlepsze możliwości kształcenia swych zmysłów i umysłu. Nawet w domach, gdzie niemożliwością jest dać dziecku osobny pokój, przyswojono sobie racjonalny zwyczaj, że dzieci, dopóki nie dojdą do wieku, w którym towarzysko mogą zrównać się ze światem dorosłych, jadają osobno, śpią o innych porach, niż dorośli członkowie rodziny. Dzieci mają swój własny tryb życia, odpowiedni do ich potrzeb higienicznych, rozwijający siły fizyczne — mają swoje własne godziny przechadzki, rozrywek i pracy, ćwiczeń ręcznych i nauki.

Ten tryb życia dziecka — pory jego dnia, muszą szanować dorośli członkowie rodziny, jeśli do-

statecznie rozumieją doniosłość wielkiej sprawy, jaką jest pozostawienie dziecka w jego własnym świecie.

Dzieci starsze, kształcące się i dorastające, mieszkają w Anglii nie w domach rodziców, ale w zakładach wychowawczych, mających opinię wzorowych i tak urządzonych, by stworzyły społeczność dziecięcą, czy młodocianą, żyjącą znowu we własnym trybie życia, sprzyjającym wszechstronnemu rozwojowi młodej istoty ludzkiej.

Robi się to nie z pobudek wygody własnej rodziców zamożnych i światowych — jakby sądzić można, ale w przeświadczeniu, że dom ludzi dorosłych, zaabsorbowanych z konieczności sprawami zarobkowymi, osobistymi i społecznymi obowiązkami, wplątanych w różnorakie koła interesów, nie sprzyja tak ważnej i wymagającej specjalnych starań sprawie, jak wychowanie dziecka. Prostu dom prywatny nie ma odpowiednich urządzeń, nie ma możliwości — nawet w warunkach dużego bogactwa — dania dzieciom swym tych wszystkich kulturalnych, higienicznych i naukowych zasobów, jakie są zdobyczą życia współczesnego, dla którego ulepszania przeznaczone są przecież rosnące pokolenia.

Czy tego rodzaju wychowanie dzieci w zbiorowości dziecięcej, poza domem rodzicielskim, nie wywiera ujemnego wpływu, nie ochładza uczuć rodzinnych?

Zdaje się jednak, że przywiązanie do rodziny i poszanowanie tradycji rodzinnych nie ma nic wspólnego z ustawicznym i — powiedzmy szczerze — niepotrzebnym, niekiedy szkodliwym, udziałem dzieci w zawikłaniach, kłopotach, udrękach życia ludzi dorosłych. Cóż z tego, że to są rodzice? Czy dziecko powinno brać udział, choćby postronny, w ich troskach o byt codzienny, drzeć wraz z nimi o powodzenie takiej czy innej imprezy finansowej ojca, zajmować się bólami i nieporozumieniami, jakie w każdym, najkulturalniejszym środowisku wynikają między mężem i żoną? Bo dziecko, choćby nie wiedziało, ale gdy jest blisko, widzi znane sobie, zmienione troską twarze, wyczuwa — a ma przecież subtelny dar intuicji — trwogi, mizerję, nędzę moralne świata dorosłych... Dusza młodociana zasnuwa się ponurym cieniem, otwiera się bolesnymi ranami, cierpi, szarpie się w zwątpieniach, traci odporność nerwów, niszczy się przedwczesnymi przeżyciami.

Jeśli nie można zupełnie radykalnie pozostawić dzieci w ich własnym świecie, do którego, oczywiście, kochający rodzice mają łatwy dostęp, jeśli trafiają drzwiami miłości i zrozumienia — to należy możliwie utrzymywać przebywanie dzieci w środowisku rówieśników, które zresztą będzie dla nich najważniejsze w biegu całego życia. Dzieci między sobą rozumieją się znacznie lepiej, niż z dorosłymi; dzieci wśród dzieci najłatwiej nauczą się społecznego współżycia. Zarówno lekcja solidarności i współczucia, jak lekcja

walki i współzawodnictwa odbywa się tu w warunkach pewnej równości sił...

Instynktowna, czasami tylko egzaltowana, zażdość rodziny o to, że dziecko woli przebywać w gronie rówieśników, lepiej się tam bawi, czuje się tam lepiej zrozumianem, że więc rzekomo „traci serce dla rodziców“ i domowników, — oparta jest na niezrozumieniu tej prostej prawdy, że nie dziecko dla domu i dorosłej rodziny, lecz dom i rodzina dla dziecka zostały powołane i stworzone. Sentymentalne wywody w rodzinach, w których dziecko jest traktowane, jako zabawka i umilenie życia dorosłych, złośliwe i brutalne kary w domach, w których dziecko tylko wtedy nie jest zawadą, gdy daje z siebie pracę pożyteczną, a zwykle przechodzącą jego siły — oto najczęściej argumenty, jakimi chce się przytrzymać dziecko, rwące się do własnego świata od świata dorosłych.

Czyż niema więc mostu między prawami dziecka do jego własnych dróg, a spoistością więzów rodzinnych? Jest — i nazywa się miłością, zrozumieniem, zaufaniem, wyrozumiałością.

Nie jest to sprawa łatwa i prosta. Rozdźwięki między otoczeniem dorosłych, a kształtującą się osobowością dziecka są niesłychanie pospolitym wypadkiem i jednym z głównych powodów wypaczenia, częstokroć bezpowrotnego, charakterów dziecięcych.

Jeśli tak bardzo w dawnym wychowaniu troszczono się o wpojenie dzieciom szacunku dla dorosłych, jako wcielenia cnót, mądrości i wzorów, godnych naśladowania — dziś przekonano się, że najwięcej budzącym szacunek jest poszanowanie dziecka, nowego człowieka, z którym idziemy w pobliżu do pewnej mety, czasami obok siebie lub razem i w tej pięknej, czy też trudnej drodze pomagamy sobie wzajemnie, radzimy się sobie obopólnie, jak postąpić i którądy się skierować. Dziś już pamiętamy lepiej o zawodności autorytetów, pamiętamy z zuchwałych sądów własnego dzieciństwa...

Że stanowisko takie jest coraz lepiej rozumiane w całym świecie, świadczy wielkie powszechne zainteresowanie sprawami wychowania, jakie i u nas znajduje oddźwięk, pełen wyrazu. Do szkół, narazie tylko żeńskich, wprowadzono naukę o pielęgowaniu i wychowaniu dziecka. Szerzy się literatura o wychowaniu, powstają organizacje współpracy wychowawczej z młodzieżą. Utworzone przy Towarzystwie Eugenicznym w Warszawie Kursy szkolenia matek są przepełnione chętnymi nauki młodemi kobietami. Otwarte być mają wkrótce analogiczne kursy dla ojców.

Eugenicie i naukom społecznym zawdzięczać należy pogłębienie się poczucia odpowiedzialności za powoływanie do życia nowych pokoleń. W sferach kulturalnych spopularyzowała się już szeroko wiedza, iż zdrowie rodziców, ich warunki fizyczne i duchowe mają doniosły wpływ na normalny lub zwyrodniały typ dziecka. Jest to sprawa pierwszorzędnej wagi

z punktu widzenia hodowania doskonalszej rasy ludzkiej i postępu ludzkości na drogach rozwoju — albo też sumy indywidualnych klęsk i nieszczęść, oraz społecznego upadku.

Dalszy etap sprawy stosunku do dziecka, mianowicie wychowanie, ma jeszcze u nas charakter zbyt, jeśli tak powiedziec wolno, prywatny. Staranność rodzin w wychowywaniu dzieci ogranicza się najczęściej do zapewnienia dzieciom możliwie wygodnego miejsca dla ich osobistych aspiracji. I stąd naodwrot płynie ów niepojęcie brutalny stosunek społeczeństwa do dziecka. Mało kto bowiem czuje, iż to małe stworzenie stanowi nieodłączną i najważniejszą część zbiorowości. Aspołeczność wychowania rodzinnego — bo takim jest ono w większości wypadków — sprawia, iż dziecko, pozbawione rodziny, dziecko, które chwilowo bodaj znajdzie się bez opieki, na ulicy, w tłumie, dziecko - sierota — zdane jest na łaskę losu i nie budzi uczuć, jakie mu się należą ze strony ludzi dorosłych. Pozostawione samo sobie, może zginąć marnie i nikt nie będzie miał z tego powodu wyrzutów sumienia...

Gdy słyszy się o dzieciach w Japonji, o cudownym stosunku społeczeństwa tamtejszego do świata

dziecięcego — to boleśnie jest wiedzieć, iż w cywilizowanej Europie dziecko jest uważane wciąż za istotę niższej wartości, gdy powinno być traktowane w sposób uprzywilejowany, chronione i prowadzone. Jest źle wychowywane, bywa poniewierane moralnie i fizycznie, podlega brutalnym i bezsensownym karom, biciu i dokuczliwościom... Nie ma dość szkół, nie ma swych ogrodów, zabaw, zakładów, nie ma dość chleba i zdrowia.

Obok dziecka przechodzą obojętnie tłumy ludzi, którzy siły i potęgi swej zbiorowości nie chcą bynajmniej użyć ku obronie pokrzywdzonego, wydziedziczonego, słabego maleństwa.

A przecież dziecko właśnie jest tem, co broni społeczeństwo przed zagładą. Jest poezją społeczeństw, lecz i ich największą rzeczywistością, ich częścią najżywotniejszą.

Dopiero w roku 1925 dziecko doczekało się swej Deklaracji Praw. Ale czy owe dziesięciorgo przykazań genewskich wisi już w domach i szkołach, widoczne dla oczu rodziców i wychowawców? Ileż czasu jeszcze minie zanim świat dziecka zdobędzie sobie istotnie należną współrzędność ze światem dorosłych?

LUCYNA KRZEMIENIECKA

N I E D O L A

*Próżno myślasz matce trzyletnie, modre spojrzenia.
Jest blada, nie patrzy na Ciebie. Nie tknęła nawet jedzenia.*

*Próżno chciałaś jej pomóc na smutek niezrozumiały.
Nie pomogły zarzucone na szyję ręczyny różowe i białe.*

*Próżno dzieliłaś z nią radość, że niedźwiadek ma nową sukienkę
Odrzuciła boleśnie Twe słowa. Odrzucała pociechy maleńkie.*

*Więc siedzisz skulona w kąci i patrzysz lękliwie, nieperonie
na drzewa, które ojciec rano zatrzasnął za sobą gnieronie.*

*Bunt rozbiera w małym serduszku, żal się kołacze i krzyczy:
dlaczego ojciec nie wraca z płaczącej deszczem ulicy.*

*Stuliłaś usta w podkówkę, chcąc wreszcie poradzić na to
i spadły Twe lzy niewinne, jak rozwiązanie dramatu.*



HERMINJA NAGLEROWA

5)

ZAWALIDROGA

(Powieść)

Na próbę drugiego aktu przyszła aktorka, która grała rolę kobiecą w sztuce. Franek pomyślał:

— Jest, jak jasna lampa — i wychylił się za płócienną ścianę, aby lepiej widzieć.

Autor skierował lusterka binokli wprost ku twarzy aktorki i pocałował ją w rękę. Zaśmiała się krótko i jakby niepotrzebnie, poczem ściągnęła rękawiczki i rzuciła je na pakę. Tam także poleciał ptakiem mały kapelusz, zakreślając błękitny luk.

— Doprawdy, jest, jak lampa — powtórzył sobie Franek, oślepiiony złotem światłem głowy aktorki.

Szezebiot jej był, zaiste, ptasi. Gardziółkowe tryle łaskotały w uszy, wibrowały przy skroniach, mrowiły się na karku. Nawet po dłoniach muskało płachetkami jedwabiu. Było to przyjemne i jednocześnie zawstydzające. Nie powinno się mówić takim głosem, gdy wszyscy słuchają! A właśnie Konrad włókł się po scenie za dziewczyną, niby pociągnięty sznureczkami tego dziwnego, bezwstydnego głosu. Dopiero reżyser mocnym słowem zmiótł go w kąt, bo rzeczywiście przeszkadzał. Konrad zmykał, trzępiąc głupio rękami, i po drodze zahaczył o wystającą listwę kulisy, wpadając w ramiona Franka. Prychnęli na siebie śmiechem i Franek podtrzymał Konrada łokciem.

— Byłbym upadł, doprawdy, czy to nie zły omen? — Trochę jakby zalkał w zadyszaniu. — Pan może z prasy? Nie? Ach, tak, z Karolem. Utalentowany chłopak! Czy może i pan na scenie? Nie? Pan pisze? Doprawdy, poezje?

Odrąz wypytał tak Franka od Adama i Ewy. Wątła linijka warg Konrada kreśliła się łaskawym uśmiezkim. Gors, przecięty pasemkiem krawatu, falował nad jeszcze zdyszana pierś i niby własnowolnie biegała kulka grdyki nad niskim kołnierzem. — Jak mysz, która nie wie, dokąd uciec — pomyślał z niechęcią Franek.

— Poezje, owszem. Ale dramat, widzi pan, dramat! — odrąz się przechwalał i odrąz był niesympatyczny.

Wynurzenia Konrada ugrzęzły nagle, a binokle nastawiły się, jak latarnie samochodu i zerowały po scenie wślad za aktorką. Ostatni pasaż trylu rozprysnął się na skórze Franka, gdy dziewczyna podeszła do Konrada. Przedstawił jej Franciszka z wersalską przesadą, że to niby także młody poeta!

Zbliżka wydawała się Frankowi wyższa i już nie taka jasna. Blade były jej pełne policzki i jeszcze w dodatku dąsała się, jak kapryśne dziecko. Cień powiek zasmucał ten dziecinny grymas. Franek odbiegł

wzrokiem, bo nieprzyjemnie było widzieć to przeobrażenie. Świecąca lampa zgasła, była może tylko bladym kagankiem? Ale to właśnie powinno wystarczyć Konradowi, który brał chyba na serjo jej minki i wykrzywiania.

We czworo pili potem herbatę w mleczarni i jedli parówki.

Karol szumiał, jak kipiący samowar. Konrad gładziutko smarował zdania, a Wanda uśmiechała się w przestrzeń. Mieli zresztą swoje sprawy, do których trudno było doczepić się Frankowi. Biedził się więc swoim upartem i jakby poniżającym go tu milczeniem. Stało się nieco raźniej, gdy Wanda odeszła, a młodzieńcy, syrpiąc herbatę, rozgadali się już pospólnie. Najpierw o Wandzie. Karol powiedział:

— Zabiję cię, jak mi ją zabierzesz!

— Karolu, drogi chłopcze, — śmiał się Konrad. A właściwie obaj zaśmieli się do siebie, szczerząc zębami, jak dwa warczące psy.

Ale o sztuce i tej awanturze dzisiejszej mówili poprzyjacielsku. Dmuchi niedościgłym znawstwem i potrosze obskubywali reżysera ze czci i wiary. Nawet Karol, jak się okazało, miał mu teraz niejedno do zarzucenia. Wreszcie w tej sprawie i Franek potrafił coś powiedzieć. Dobierał fachowych określeń, jękał się, byle tylko było jakoś dorzeczy. Najpierw był w rozmowie tylko na trzeciego, ale wnet szarpnął się i począł mówić tak, jak mu się żywnie podobało. Prostu, bezczelnie się narzucił. Mówił o sobie — co pisał, co zamierza. Było mu trochę zaciepło, ale właśnie dlatego słowa szły już gładko i wydawały się nad podziw rozumne. Krytykował współczesnych młodych poetów, jakby rzucał złośliwymi igielkami, nawet spowiewał tego lub owego. Konrad udawał, że się interesuje wywodami szczeniaka.

— Niech pan napisze o tem do nas, do „Nowej Sztuki“.

— To pan do nich należy?

— Właśnie.

— Mogę wam dać wiersze.

— Owszem, niech pan przyniesie, zobaczymy!

Franek przełknął łaskawe „zobaczymy“. To nie! Bo może naprawdę przyjmą? I uśmiechając się zarozumiale, myślał wzruszony: Czyż nie dzieją się cuda?

I dlatego to właśnie postanowił: Nie pojedzie jutro, zostanie jeszcze w Warszawie. Niech ojciec nie myśli, że leczę, jak na zawołanie. A matka będzie pewnie zadowolona.

Do serca pukała radość, nieśmiało, jak ktoś, który nie wie, czy go wpuszczą. Proszę, proszę wejść!

Proszę, proszę zamieszkać! Ścisnął mocno rękę Konrada, Karola trzepnął w plecy: — Cześć! — Byłby nawet zawołał: — Hurra! — ale nie trzeba było okazać swojej radości.

Potem wesołą myślą robił bilans dnia — od wczesnego ranka aż do światła pierwszej latarni. Bo w jednym, niedługim dniu majowym może stać się tak wiele. Można zdać maturę, coś ważnego postanowić, coś ważnego odrzucić, nad czymś płakać, czemuś się dziwić, czemś samemu sobie zagłębno się cieszyć. Można wyciągnąć ramiona, jak skrzydła, można ulecieć w górę!

Niebo było już białe, jak mleko, a któraś z gwiazd mrugała wśród srebrnych rzęs.

V.

Nic się wprawdzie nie mówiło o wyjeździe Franka, ale milczkiem, konspiracyjnie zabrano się do przygotowań. Matka powiedziała:

— Nie masz się w co ubrać.

Odbywano więc pielgrzymki od sklepu do sklepu. Kupowało się bieliznę, lśniąca jedwabnemi pasczkami. Bledziutkie barwy zefirów i popelin były, niby odległe echo jaskrawej radości. Skarpetki i pończochy chrzęściły pod ręką, niczem pszenna mąka. Splaszczone walce materiałów dudniły o ladę, a dżentelmeńskie ręce subjektów wtulały się w fałdy, jak w wodę. Szara, angielska wełna sypała się nakształt kretowisk, a czarnym, polerowanym marmurem polyskiwało smokingowe sukno. Z pudełek wysypywały się desenie krawatów — może to skrawki kwitnących łąk, może zgniecione owoce, może to barwy sztandarów, a może bandera na zielonem tle morza?

Trudno było wybrać niewielką ilość najkonieczniejszych rzeczy, gdyż wszystko wydawało się niezbędne. Długie namysły matki sprawiały niemal fizyczny ból. Sprzeciwiał się im nadasaniem, bo przecież wobec obcych nie wypadało się spierać. Z woreczka, pachnącego, jak kadzielnica, wyjmowała matka brudne, szare banknoty i wyliczała je szeptem na szklanej tafli kasy. Franek widział dobrze, że na policzkach matki wykwiłał rumieniec obawy: czy wystarczy? I dlatego, niosąc sztywne paczki, cedził przez zęby nieszczerze wymówki, że właściwie kupuje się za dużo i za drogie rzeczy. Wysnuwał nawet swoje praktyczne i skromne kalkulacje, że zawsze można coś dokupić, tembardziej, że po ferjach sam już coś niecoś zarobi. Marząc o niekupionym, bo zbyt drogim krawacie, dowodził obłudnie, że przecież matka zbyt ciężko pracuje i wcale to kupowanie na zapas nie ma sensu!

Zofję niecierpliwiły te synowskie racje, które jakby wypominały jej ubóstwo. Odpowiadała nie-

zmiennie, że ma na to pieniądze, że doprawdy nie jest jeszcze tak źle. A zresztą — powiedziała mu to raz prawie z gniewem — zresztą część pieniędzy na wyekwipowanie syna przyśle ojciec. I jeszcze dodała:

— Bo musisz tam mieć wszystko, jak się nateży. Tak postanowiłam.

Wtedy jakby nagle ustało pożądanie Franka. Zobojętniały krawaty i zefiry, a paczki zaciężyły, jak obcy, nieznośny ciężar.

A więc to tak? Litościwa składka na jego intencję?

Stawiał twardo nogi, niemal kopał z wściekłością bruk, aby wyczuć lepiej wagę swego rozrosłego, mocnego ciała. Trzeba przecież było sprawdzić, że się nie jest mizerną drobiną, oddaną czyjemuś opiekuńczemu dobrodziejstwu. Trzeba było urastać jeszcze wyżej, rozrość jeszcze szerzej, aby móc pogardzić hojnością matki i tego pana z „nadbużańskich włości“.

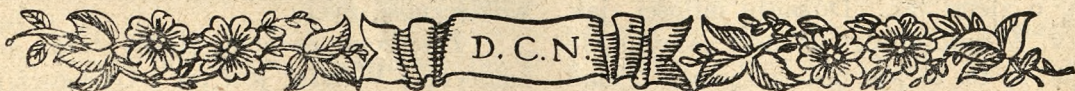
Złem okiem patrzył z boku na matkę i mocował się ze słowami, które już chciały mocno, niwecząco uderzyć. Szła tak obok, ledwie mogąc nadażyć wielkim krokiem syna. Mały, równiutki nos rysował się zpod brzegu kapelusza, a gładki sklepiony policzek dygotał w rytm chodu. Złoty meszek, pleniący się na sieci żyłek — jest chyba nieświadomy poniżenia? A może właśnie w kącikach uróżowanych ust czai się zachłanność na owe ojcowskie subsydja?

— Nie bierz od ojca pieniędzy!

Nie spojrzała nawet w jego stronę, dmuchnęła tak tylko przed siebie lekką mową, że sama przecież nie dałaby rady. Tyle nie potrafi zarobić abażurami, a zresztą ojciec musi pewną sumę przysyłać, skoro się tak ugodzono.

Ugodzono? No, tak, wcale nie jest trudno zrozumieć, jak się to odbywało. Targi, żądania, obliczania! Pewnie tak stali na dwu końcach długiego stołu i poprzez martwą zieleń urzędowego sukna przerzucali sobie paragrafy warunków. Tak to sobie wyobrażał — tę ugodę. Wymawiali pewnie jego imię: Franek — i obliczali koszt jego jadła, mierzyli na metry sukno jego odzieży. Tyle a tyle.

A on, maleńki wtedy chłopczyk, bawił się może w jakimś ogrodzie (napewno na Wysokim Zamku we Lwowie, bo wie, że rozwód przeprowadzono we Lwowie!). Biegał tam może za piłką, za obręczą i w zdyszaniem serduszku nosił dwa kochane pojęcia: tatuś i mamusia. Tatuś — to coś brązowego, dużego, pachnącego dymem tytoniowym i kurzem zboża. Tatuś — to twarde uda, na których się siedzi mocno, bez żadnej obawy.



HALINA DĄBROWOLSKA

DNIE POGODNE

I.

Oknami wchodzi wiatr. Często przynosi do pokoju zeschnięte kwiaty kasztanu, płatki akacji. Długie szarfy firanek poruszają się wolno. W tem kołysaniu się swobodnem jest pogoda, odpoczynek, może dlatego, że patrzeć na to można w ciche, oddane myślom, popołudnie niedzielne. Ale to wcale nie jest niedziela. W tym domu jest zawsze dzień święta, spokoju, nagrody.

Do pokoi, zacieśnionych tapetą, wpada głos jaskółek. Pełno jest gniazd u dachu. Słońce, stężale w smugi, kładzie palce promieni na ścianach. Meble, objęte ciszą i światłem, śpią. Stoliki z drzewa różanego pachną. Obrazy stare uciekły jakby z ram i zostały tylko lśniące plamy płócien.

Kwiatów jest pełno w mieszkaniu: na stołach, na szafach, w dzbanach, po rogach pokoi. Tak, jak one, wałęsają się wszędzie książki. Niema kąta, niemal sprzętu, gdzieby nie leżał jakiś tom, często otwarty, przyłożony okładką. Gabinet ojca ma książki poukładane w opaskach, tak jak je przysłano z księgarni; z nich to wybiera się „swoje“ i te już przenikają do sypialni, salonu i różnych zacisznych foteli. Leżą na werandzie, wszędzie, gdzie w skwarzuje się je z czekoladkami w słodkim lenistwie próżniactwa. Te same książki gubione są nie z obojętności, lecz z nadmiaru, po trawnikach, kocach, przy tennisie, w łódce, bo towarzyszą każdej czynności. One się stają jeszcze jednym dopełnieniem rozkoszy trwania.

Rozkosz trwania... ach! bo ta jedna świadomość przenikała tu powietrze, ziemię czarną, bujną, nie spracowaną, leżącą tak często w ugorach z nadmiaru gleby i dobrobytu. Radość istnienia napelniała życie ludzkie szczęściem i spokojem.

Mieszkające w domu tym osoby były nieodpowiedzialne, bytujące w pogodzie roślinnej, jak wszystko wkoło nich.

Czemu nie zamarli w tępcie i tłuszczu, dlaczego nie skończyli się duchowo, osiągając materialnie tak wiele, nie zgnuśniali? Chyba naprawdę piękno, duch przyrody stał na straży ich dusz.

Zdaleka widać już głowę doktora, bo siwa. Często zatrzymuje się u drzew, patrzy, czy niema liszek. Zdejmuje z klonów zadąsane, śpiące chrząszcze. Klementyna wciska mu się pod ramię; jest mała i doskonale mieści się w tym łuku. Jakże kocha ojca! to stwierdzenie budzi w niej myśl o matce, rodzeństwie, o ciotkach-rezydentkach, o służbie, zwierzętach domowych, o ziemi tej. Doznaje miłości, jak upojenia, ekstazy. W radości tego uczucia zamyka się i modli, dziękując za to, że jest tak szczęśliwa. Tuląc

się do ojca, nawet dobrze nie słyszy, co on mówi. Wystarczy, że on jest obok niej i to wszystko wkoło, co kocha, z czego rośnie, wspina się jej pogodne dzieciństwo.

Trzeba przejść kładkę między warzywami i tak przez ogród można zaraz dostać się do wsi. Chaty są duże, bielone na niebiesko, z jaskrawo lamowanymi oknami. Z przed nich to idą do doktora przywitania. Każdemu jest znana jego biała głowa i dobrotliwy uśmiech, nie tylko dorosłym, ale i dzieciom, i psom. Doktora lubią. Sąsiad dobry, nie za bogaty. Dużo chłopów wierzy nawet w jego porady, chociaż prócz niego wołają znachora: ten pewniejszy.

— Gdzie tatuś idzie? — przypomina się z czułości ramienia głos Klementyny.

— Idę do Iwdochy.

— Umarł mały?

— Tak, umarł.

— Ja jej wcale nie żałuję; więcej płacze po krowie, jak po dziecku.

— Nie rozumiesz tych ludzi. Śmierć chłopska, jest, jak żołnierska, krótka. Nic przesady, a że po zwierzęciu płacze... Nie myślę, żeby to było złe; to nie jest poniżenie człowieka, że go się równa z pierwszym lepszym stworzeniem, lecz podniesieniem godności bydłęcia. Człowiek wsi czuje instynktownie tę mądrość, podporządkowuje siebie naturze i mimo to nie czuje się małym, ani opuszczonym pośród wieczności. Rozumiesz, co myślę?

— Tak, ludzie z miasta, nawet pan Grzegorz, oni wybierają z przyrody to, co im się podoba, a nie, żeby ją całą przyjąć, że tak być musi.

— Teraz już powinnaś wracać, Klementyno, ja dalej pójdę sam.

II.

TENNIS.

Sukienki krótkie, różowe, z mnóstwem falbanek. Włosy rozpuszczone, związane u szyi wielką kokardą, i na niebieskiej nitce marzenia ogromne łatawce. Piłka okrągła draży powietrze. Rzucają ją ramiona zdrowe, w słońce wyciągnięte. Kula kreśli w powietrzu drogę łuku. To Klementyna i Wanda bawią się rankami w tenisa. Widziane po przez rakiety niebo, jest, niby emalja, gładkie i szafirowe.

Rozmowy są proste, zabawy niewyszukane. Czasem piłka pójdzie zawysoko, myśl zadaleko.

Cokolwiek mówią tu dzieci, cokolwiek starsi — wszystko jest nanizane na bezustanną radość, wdzięczność życiu.

Zmęczone ruchem, siadły teraz na ławce Klementyna i Wanda; jest też i Grzegorz-poeta. Nic nie

mówią, może nie myślą nawet. Widzą — to wystarcza wobec piękna tej ziemi.

Zielona ważka siada Klementynie na rakiemie. Ma wielkie, złote oczy i skrzydła przezroczyste, może śpi. Dziewczynki zatrzymują ruchy, rzęsami nawet boją się mrugnąć, żeby tylko najdłużej została. Ważka podwija pod siebie nogi i siada, jak koń zmęczony, całym ciałem. Nadleciało ich jeszcze parę, słońcu rade. Motyle krążą nad głową, znęcone barwą sukni, prawie natrętnie, jednakże gdy się je spłoszy, jest żal i pustka. Na ławce pośród pledu stróżują koniki polne; ogromne, zielone, zamysłone — siedzą na długich łapach, skrzydła po bokach złożyły, jak wio-

śła. Pełno jest też innych, szarych, mniejszych; idzie się po trawie między świerszczami, jak w roju much, z pod nóg podnosi się ich zaraz bardzo wiele. Jeszcze inne, małe, siadają na ubraniach, książkach, pis-mach.

Są też świerszcze święte, co pod kominem razem z „domowykiem“ siedzą i domowi szczęście wróżą. Tych zabijać nie wolno.

Wszystko tu staje się na tle i poprzez głos koników polnych i świerszczy. Jakże krzyczą w białe południe, jakże śpiewają nocą! Koleje życia ludzi tu-tejszych nanizane są na ich rozedrgany, gorący szept.

ZOFJA MISZEWSKA

JESZCZE O DZIECIACH ŻEBRZĄCYCH

Kilkakrotnie już na łamach „Bluszczu“ poruszano sprawę przeróżnych niedoli dziecięcych; ale widać jest to źródło nieprzebrane, bo oto pani Ala Maryńska w artykule p. t. „Dzieci żebrzące“, umieszczonym w 20 numerze „Bluszczu“, pisze jeszcze o jednej odmianie tej niedoli, t. j. o żebractwie wśród dzieci.

Któż z nas nie zna tych drobnych, wychudłych sylwetek, nagabujących żalosnymi głosikami przechodniów o kupienie zapalek, kwiatów, cukierków, albo poprostu o datek. „bo ojciec bezrobotny a mama chora“ — Czy jest to rzeczywista nędza, czy też sprytna symulacja — trudno odgadnąć; ja myślę, że i jedno i drugie. Zawsze jednak jest to moment destrukcyjny, który należałoby usunąć za wszelką cenę z życia społecznego; to też bynajmniej nie dziwi wyrzut, zawarty w pytaniu, rzucenem na zakończenie wspomnianego artykułu: „Co robi wydział opieki społecznej magistratu?“

Wydział opieki społecznej specjalnie dziećmi żebrzącymi się nie zajmuje. Sprawę wchłonęła walka z żebractwem wogóle, zapoczątkowana od roku 1928 przez kierownika wydziału pana Władysława Zarzyckiego. Mianowicie na wzór zagranicy wprowadził on tak zwane *bonny* dla żebraków, na zasadzie których magistrat wydaje zapomogi lub umieszcza w przytułkach i domach zarobkowych, po uprzednim sprawdzeniu warunków życia danego osobnika.

Akcja ta cieszy się dość dużym powodzeniem: od 12.X.28 do 1.IV.29 wydano bonów na zł. 2032 gr. 80, żebraków zarejestrowano 823, zapomóg zaś wydano na sumę 41,200 zł. 80 gr.

W cyfrach, wyżej podanych, zawiera się już i zagadnienie żebrzących dzieci. Jest ich podobno sto-

sunkowo niewielka ilość, a te, które władze magistrackie zdołają zatrzymać i zarejestrować, umieszcza się w odpowiednich zakładach i przytułkach, pociągając ewentualnych opiekunów do surowej odpowiedzialności.

Bo jednak dziecko samorzutnie rzadko kiedy „wyciąga rękę; jeżeli tak się stanie, to doprowadza je do tego rzeczywista nędza, ściślej mówiąc — głód, o ile przedtem tenże głód nie popchnie małego nędzaka do kradzieży. W większości wypadków dzieci do żebraniny zmuszają opiekunowie lub rodzice, bijąc i maltretując za zbyt małe sumy.

Z tą sprawą ściślej jeszcze wiąże się proceder wynajmowania dzieci do żebraniny. Często w zimie, na stopniach lub pod murami domów, dają się widzieć nędzne kobieciny z małutkimi dziećmi na ręku. Jeżeli żebractwo wzrusza jeszcze, to właśnie taka „matka“ ma najwięcej szans. Napisałam „matka“ w cudzysłowie, nie dlatego, żeby w każdym wypadku dziecko było wynajęte, ale poprostu dlatego, że jest to kupczenie uczuciem w imię interesu.

Z tem nadużyciem magistrat walczy najostrzej, odbierając dzieci, pociągając tego rodzaju kobiety do odpowiedzialności sądowej i nakładając duże kary. Nie może jednak zwalczyć go zupełnie, bo sami żebracy gwałtownie opierają się tej akcji, nie chcąc brać bonów, a nawet zapomóg magistratu; jednak jałmużna więcej im przynosi dochodów, a opowieść o bogatym żebraku nie jest tak rzadką legendą, jakby się zdawało.

Prawda, że wśród żebraków spotykają się naprawdę biedni i nędzai, ale ci skwapliwie korzystają z datków i pomocy Opieki Społecznej. Tak samo i z dziećmi. Żebrzą, bo każą im starsi i nieraz bardzo

sprytnie umykają przed policją, aby nie otrzymać znieawidzonych bonów.

Akcja walki z żebractwem trwa rok zaledwie, a jednak mam wrażenie, że szeregi okropnych kalek, „czcigodnych“ starców i bezzębnych babuteniek bardzo się przerzedziły.

Z czasem plaga żebraków zniknie zupełnie z ulic Warszawy, jeżeli i samo społeczeństwo zrozumie do-

niosłość bonów magistrackich i będzie je rozdawało zamiast pięciogroszów. Wtedy proceder żebrania poprostu się nie opłaci.

Ale to jest strona niejako zewnętrzna faktu. Źródła żebractwa należy się doszukiwać przede wszystkim w nędzy, i dopiero kiedy jej przyczyny zostaną usunięte, można będzie radykalnie tępić żebractwo, jako objaw bezwzględnie szkodliwy.

STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

NA CHWILĘ PRZED OTWARCIEM

Dziennikarzom, zwołanym z całej Polski, pokazano wystawę w Poznaniu na kilka dni przed jej otwarciem. Niech bije pod niebem wielki dzwon prasy, niech idzie w świat płomienne zawołanie. Było nas przeszło dwieście osób. Jakby mała armja wysłańców. Roznieśliśmy po całym kraju płomienne wici z hasłem: „Na Wystawę!”

A ona była jeszcze, jak panna na kilka godzin przed balem, z rozczochaną czuprynką, wśród stosów skrzyń, pak, pudeł, z których wyjmowano z niesłychanymi ostrożnościami przedziwne szczegóły jej toalety. Szata to nawskroś nowoczesna, gdyż oprócz trwałych, monumentalnych gmachów, takich np., jak pawilon rządowy, albo pałac sztuki, które po zamknięciu wystawy zajmie uniwersytet, większość budynków — to bloki, o kształtach masywnych i strzelistych zarazem, przemawiające do widza nie linją i stylem ornamentu, ale bryłą i barwą.

Pierwsze wrażenie, jakie się odbiera po przekroczeniu bram wykańczanej na gwałt wystawy, jest wrażeniem wielobarwności. Zawrotny płas kolorytu. Na olbrzymim, płowym terenie, w olśniewającym majowym słońcu przypadły do ziemi potężne cielska rajskich ptaków, pod osioną tęczowych skrzydeł tulące obraz dziesięcioletniego dorobku Polski niepodległej.

Pawilon pracy kobiet, pomalowany na kolor pośredni między bananem, cytryną a kanarkiem, wabi zdaleka ku sobie. Fachowcy twierdzą, że ten kolor jest bardzo oryginalny i efektowny. Osobom, patrzącym na sztukę nie przez pryzmat teorii, ale pod kątem natury, dziwnie kojarzy się z barwą młodzieńczego, tylko co wyklutego listka. Czyż to symbol „młodzieńczości“ pracy kobiecej? Wykresy i mapy, które zawisną we wnętrzu pawilonu, mają przecież unaocznic jej dojrzałość.

Ale nie czas na zastanowienie. Szybkim krokiem przemierzamy owe 600 hektarów przestrzeni, zajętych pod wystawę.

Niezły szmat ziemi. Niejeden rolnik zazdrośnie poskrobie się za uchem. Żeby tak to wziąć pod pług, sypałby kłos, jak złoto. Ale i bez pługa w tę ziemię zasiano miliony, a porosnąć powinna miliardami.

Pięć godzin marszu wystarcza zaledwie na to, żeby pobieżnie rzucić okiem na całość i wytworzyć sobie nikłe pojęcie o ogromie trudu, włożonego w ten generalny przegląd polskich sił i możliwości. Niech to będzie przestroga dla tych, którzy naiwnie sądzą, że w jeden dzień zdążą obejrzeć wystawę. Jest to marzenie ściętej głowy.

Wszędzie wre gorączkowa praca: trzeba skakać przez stosy desek, góry szabru i gruzu, osypiska piasku; trzeba kroczyć gęsiego po wąskich deszczułkach, zręcznie wymijając maszyny do ubijania dróg, taczki, beczki, skrzynie; grzęznąć po kostki w trocinach, płatać się w długich wstęgach wiórów.

Ma się wiedzieć że taki zbiorowy najazd przeskadza robocie; siaki taki dziennikarzyna płacze się



Westibul reprezentacyjny

pod nogami, gapi się i stuka w palce: zdają czy nie zdają. Więc niejedyn robotciarz zaklnie pod wąsem, ale zcicha, bo z takim „galicjakiem z Kongresowy“ zawsze lepiej ostrożnie: jeszcze, nie daj Boże, człowieka uczciwego w gazecie opisze.

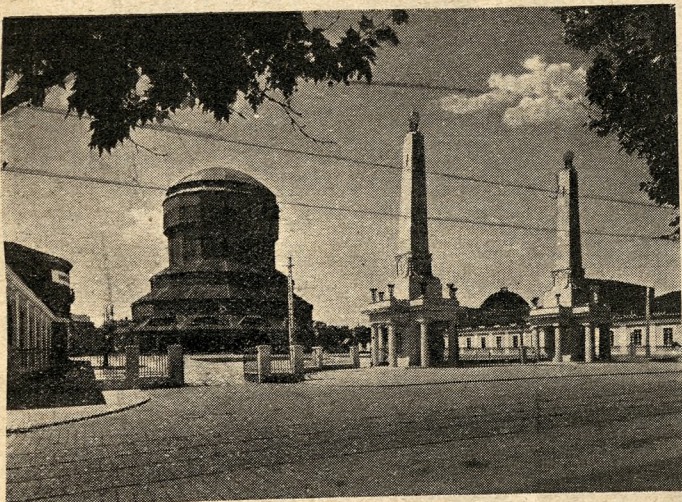
Wszędzie oleisty zapach pokostu ostrzega wpiery, nim napis: „świeżo malowane!“ Mniej uważni, albo bardziej korpulentni koledzy wynoszą na połączonych płaszców gratisowe próbki wszystkich farb. Pierwsza, nadprogramowa pamiątka z wystawy.

Niektóre pawilony jeszcze więj chłodem i pustką, wymowną w swem milczeniu. W innych świst pił, zgrzyt heblów, stuk młotów ogłusza wprost potwornym jazzbandem pracy.

Niespodzianie wkraczamy do hali, sklepionej, jak świątynia, kolorowej, jak witraż. To przybytek ciężkiego przemysłu, jakby dla kontrastu ze swoim przeznaczeniem skomponowany w kolorze z wyjątkowym smakiem i polotem. Od ciemno śliwkowego tonu dolnej połaci ścian przechodzi się okiem całą gradacją odcieni aż do blado liljowej barwy horyzontu u szczytu. W tem stopniowaniu jest coś z muzyki organowej — łagodne przejście od pełnego, gęstego akordu w basie do rozwianych, subtelných tonów wiolinu. A na ten symfoniczny tle wyrastają czarne kolumny pieców hutniczych i walcowni, ilustrujących przeróbkę rudy żelaznej na stal. To coś więcej, niż pokaz, to gigantyczne w pomysłach, zharmonizowane w konstrukcji zjawisko.

Pawilon cukrownictwa, z kopułą całą ze szkieł kolorowych, ciekawie stonowanych, pokaże zwiedzającemu przetwarzanie buraka w cukier i drogą wykresów zaznajomi z tą ważną gałęzią naszego przemysłu rolnego.

Zresztą cały dział rolniczy wystawy oglądamy, niby z lotu ptaka: z tarasu jednego z wyżej położonych pawilonów.



Wejście na wystawę od strony dworca głównego

Pokazują nam zdaleka gontowy dach przenysłu drzewnego i utrzymane w szlacheckim stylu dworów polskich pawilony Związku Ziemiaków i Zjednoczonych Ziemiaków. O dziwo! nie pragniemy zajrzeć do ich wnętrza. Bowiern nadszedł moment, kiedy nogi odmawiają posłuszeństwa, oczy przestają widzieć, a mózgi — przyswajając sobie wrażenia.

I w tym właśnie momencie uprzejmi nasi przewodnicy zapraszają nas na ochłodę i pokrzepienie do gościnnego „Dwaru Huggera“. W olbrzymiej dolnej sali nasza garstka ginie, jak kęs w paszczy smoka. Niskie ostrołukowe sklepienia, wsparte na krótkich, ale smukłych kolumnach, czynią to wnętrze podobnym do klasztornej refektarza, albo do starożytnego piwniczki pod wieżą — piwniczki, która nie zdążyła jeszcze nasiąknąć piwnym kwasem i poczerńić od fajeżanych dymów. Nie wiem, jak tam dalej pójdzie, ale życzę „Dworowi Huggera“ i nadal gości, b-darzonych tak wileczym apetytem, jak nasza brać dziennikarska. Zmiataliśmy bigos hultajski z zapalem myśliwych po całym dniu polowania, a było to przecież dopiero południe!

Pokrzepionym na duchu i ciele sprawiono miłą niespodziankę: puszczono dla nas w ruch fontannę. Widok żywej wody działa zawsze orzeźwiająco. Odpoczywa na niej oko, znużone martwymi twórcami ludzkiej ręki. Oglądamy się mimowoli za roślinnością. Narazie mało jej jeszcze na terenach wystawy, jeżeli nie brać w rachubę całego gaju zwieszonych mirtów, laurów, pomarańcz, czekających w słońcu na dalsze losy. W naszych oczach odbywa się pośpieszne obsadzanie rabatek; błyskawicznie wyciągają się wzdłuż szarych jeszcze trawników żółto - szafirowe pasy bratków.

Z prawdziwą rozkoszą toniemy wzrokiem w szmaragdowej murawie stadjonu. Postacie zapasników będą się na niej odcinać, jak na malachitowej płycie. Za stadjonem zaczyna się „Wesołe miasteczko“, siedziba atrakcyj wszelkiego rodzaju, gdzie może nareszcie niejedyn sztywny i smutny, zawsze dobrze wychowany dostojnik nauczyć się weselić, jak dziecko, baraszkować, jak student. To tylko u nas ludzie wstydzą się niewinnej zabawy — na wystawie w Paryżu nawet panowie z tytułami ministrów jeździli na karuzeli, i splendor ich nie na tem nie utracił.

Tak mi przynajmniej naplotkował zdrajca-skowronek, dzwoniący nad kobiercem zieleni, jak sygnaturka. On pierwszy niezmordowanie wzywał rzesze na wystawę, zanim uroczyste fanfary i bicie dzwońców zwiastowały jej otwarcie. Nie umilkł nawet wtedy, gdy Prezydent Rzeczypospolitej przeciał wstęgę i wypuścił pierwszego gołębia pocztowego. Szary ptaszek trzepotał się i cieszył, jakby to on był tej ziemi najradośniejszym gospodarzem. Sprawował honory domu z prostotą i pogodą Bożego śpiewaka, który tyle już wiosen ogłaszał prastarej wielkopolskiej ziemicy.

Poznań w maju.

NA MARGINESIE WYSTAWY FRANCUSKIEJ

Malarstwo francuskie jest, być może, na obrazach sztuki współczesnej, najsilniejszym wyrazem — afirmacji życia.

Nie dzięki tematycznym rozwiązaniom. Zagadnienie tematu, tego, co się maluje — jest może nawet przez dzisiejszych artystów francuskich nadto już, przesadnie, lekceważone. Cztery kartofle, czy śmierć bohatera, udo kobiece, czy domy nad wodą — to rzecz obojętna. A właściwie nieobojętna, bo zawsze raczej kartofle, niż śmierć, raczej statyczny, nieruchomy wycinek rzeczywistości — martwa natura, czy dekoracyjnie rozłożony na tapczanie akt kobiecy — aniżeli jakaś scena dramatyczna, czy choćby tylko patos gestu. Więc pod tym względem raczej rozmyślnie akcentowana wstrzemięźliwość — obojętna bierność, może nawet pewna indolencja.

A jednak obrazy tych „Galijczyków“ nie wy-



M. Denis: „Taormina“



J. Bernard: „Tancerki“

chodząc poza swą przyrodzoną dwuwymiarowość, nie przelamując bynajmniej — jak to częstokroć ma miejsce w sztuce niemieckiej — naturalnych praw malarstwa, zdają się być terenem nieustannej wymiany, drgania, przenikania się sił, przelewania się prądów, nurtowania jakichś podskórnych, dynamicznych energii. Powierzchnia takiego obrazu nie jest martwa — jest czemś żyjącem samem przez się, jak żywioł, jak morze.

Zaczął się to wszystko od impresjonizmu. Fakt, że impresjonizm kazał malarzom „podpatrywać naturę“ jest niczem wobec sposobu w jaki później tę rzekomą „podpatrzoną naturę“ na obraz przenosił. Czy Monet — czołowy, „klasyczny“ impresjonista — widział naturę naprawdę „taką, jaka ona jest“, to dla nas dzisiaj, którzy po pół wieku z górą inny wogóle mamy do natury stosunek, stoi bezwzględnie pod znakiem zapytania. Ważny natomiast jest dla nas fakt, że oddawał tę swoją naturę na płótnie jako coś niezmiernie świetlistego, żywego, wibrującego. Ważne jest, że zerwał z brudnym, ciemnym podkładem, że powiększył tak niesłychanie skalę czystych, jasnych, tonów barwnych, że podniósł dalej napięcie, intensywność kolorystyczną w obrębie każdego poszczególnego tonu. Ważne jest, że impresjonizm nauczył malarzy poprostu grać na kolorach, zażywać ich, tak, jak wirtuoz „zażywa“ klawiszy, czy strun smyczka, z których niewielu poruszeniami dłoni potrafi wydobyc nieprawdopodobną ilość skojarzeń.

Impresjoniści, dla przeprowadzenia swych artystycznych celów, posługują się pewnymi metodami według surowych, ustalonych „raz na zawsze“ reguł. A więc obraz malowany jest drobną fakturą — pędzel kładzie jedną obok drugiej, małe, lekkie plamki



Paul Signac: „Miasto“

barwne, czyste — broń Boże, nie załamane (t. zn. kolor zasadniczy, czerwony czy żółty, nie połączony z żadnym ciemnym), przeważnie rozkładając je kontrastowo. Ale te czerwone, zielone, niebieskie, żółte punkciki i smużki, które położone przy sobie, dla oka w bliskiej odległości zdają się tworzyć brutalny dysonans — przy pewnym tylko oddaleniu zlewają się w doskonale zharmonizowaną kompozycję barwną, zdającą się być nie zespołem kontrastów, lecz właśnie „jednostką kolorystyczną“ zróżnicowaną tonacyjnie. I właśnie dzięki owej manierze, sprawiającej, że zderzające się jakby, wrogie kontrasty dają przecież w rezultacie jakąś „wartość pozytywną“ (jeśli tak wolno powiedzieć), dzięki tym, podskórnym niejako, wiązaniom, zbieganiom i rozbieganiom się tonów — powierzchnia obrazu impresjonistycznego (oczywiście, *dobrego* obrazu impresjonistycznego!) wibruje, drga — żyje.

Gdy przeszedł czas, gdy wypełniły się dni, gdy „wielki samotnik z Aix“ — Cézanne — stał się bożyszczem nowego pokolenia artystów — rzucono inwektywę, klątwę na wieki wieków na impresjonizm. Postanowiono, że pogrzebany jest, uśmiercony na zawsze. Uchwycono się nowych kanonów, nowych „niezmiennych“ reguł. Formę i kształt, które impresjonisci tak niegodnie w imię roztopienia wszystkiego w świetle, w kolorze, spostponowali — uczyniono ośrodkiem poczynań artystycznych.

Ale pewnych wartości już odrzucić nie zdołano. Ponad pewne, najbardziej istotne, choć może nie najbardziej programowe, założenia impresjonizmu wyjść już było niepodobna. Stosunek do barwy, owa swoista wrażliwość na to, co się tam „w tym kolorze“, jak w jakimś żywym organizmie, dzieje i przetwarza — to właśnie, czego nauczył impresjonizm — pozostały

charakterystyczną cechą dla wszystkich niemal kierunków dzisiejszej sztuki francuskiej, zarówno dla kierunków środka „post - impresjonistycznych“ — jak nawet dla tych najbardziej skrajnych, zdecydowanie „antyimpresjonistycznych“. Tylko te wartości przeszły swoiste odmiany i uzyskały nowe uzasadnienia. Zarówno „malarstwo środka“, jak skrajna lewica odrzuciły naśladownictwo natury, jako ów *spiritus movens*, który — według haseł programowych przynajmniej — powodował działalnością impresjonistów. „Środek“ francuski dziś, wzbogacając jeszcze skalę impresjonistycznych tonów, pół i ćwierć tonów barwnych, różnicując może bardziej jeszcze każdą najmniejszą płaszczyznę kolorową, każdy mikroskopijny odcinek pomalowany — każdy, który w swych rozmiarach wychodzi ponad punkt geometryczny — stara się, przeszedłszy już szkołę Cézanne'a, budować poprzez barwę — kształt, formę. Lewica: kubiści, przebrzmiali już puryści — wyszła początkowo z zupełnie odmiennych, diametralnie różnych założeń teoretycznych — przejmując w rezultacie częściowo ów kontrastowy układ barwny (który dla impresjonistów był tylko środkiem) i czyni z niego element układu dekoracyjnego. — Oczywiście, elementy odziedziczone po impresjonizmie, sumują się z innymi, takimi, jak surowy, zamknięty układ kompozycyjny, jak zu-



Van Dougen: „Różowa suknia“

pełnie nowe, swoiste traktowanie faktury (sposób nakładania farby) — jak zresztą, nade wszystko, odmienny stosunek wogóle do obrazu — dwuwymiarowej powierzchni płótna, mającego wisieć na ścianie.

* * *

Wystawa sztuki francuskiej w „Zachęcie” z punktu widzenia reprezentacji malarstwa francuskiego lat ostatnich — chybia celu. Nadesłano paręset płócien, wśród których zaledwie można wyłowić kilka „rodzinków”, istotnie reprezentujących. Impresjonizm ratuje właściwie tylko *Signac*, pointilista (pointilizm — późniejsza odmiana impresjonizmu, polegająca na budowaniu obrazu ze ściśle odmierzonych minjaturowych prostokątów barwnych — oczywiście kontrastowych), pierwszorzędnym malarzem, na szczęście reprezentowany dość dobrze. Poza tem, oczywiście, cała moc epigonów — trzeciego i czwartego stopnia. Takich możemy często oglądać nawet na naszych „bieżących” wystawach zachętowych. Środek, który chronologicznie wywodzi się od t. zw. „Fauves” („Dziwy”) obelany jest właściwie najliczniej, ale znów bardzo słabo, jeśli chodzi o dobór naprawdę pierwszorzędnymi artystami. Co gorsze, tych kilku „majstrów”, którzy ostatecznie są, ukazują nam przeważnie w postaci najmniej interesującej. Więc przede wszystkim czołowy przedstawiciel „fauves”, mistrz dekoracyjnych układów barwnych, *Henri Matisse* — pokazany jest za pośrednictwem jednego maleńkiego obrazka, w dodatku stosunkowo słabego, który nie może dać o jego twórczości najslabszego wyobrażenia. Mamy natomiast parę ładnych *Frieszów*, jednego pięknego *Vlamincka* (pejzaż z domami — drugi jest mniej udany), parę ekspresyjnych, o przedziwnej fakturze obrazków *Utrillo’a*.

Kisling, sfrancuziały polak, reprezentowany jest dobrze trzema zmysłowymi, żmijowatymi jakby, zlekka ekspresjonizującymi, obrazami, natomiast o *Ronault’cie*, o *Gromair’ze*, o *Flaudrin’ie* trudno nabrać należytego pojęcia na podstawie tych pojedynczych, słabszych przeważnie w stosunku do całej ich twórczości, obrazków. Wyjątkowo dobrze reprezentują *Bésuarda* — postimpresjonistę — trzy przesłiczne kompozycje, z których jedna zwłaszcza (las z dziewczyną i jakimiś mitologicznymi stworami) zachwyca poprostu czarującym prześwieczeniem, przeperłowieniem jakby tonów. Bardzo interesujący jest *Varoquier*, którego obrazy utrzymane są w tak rzadkiej na tej różowo - złocisto - seledynowej wystawie — głębokiej, brązowej, holenderszczyzną zlekka trącej, tonacji. — Ale gdzież inni? Gdzież *Dérain*, *Modigliani*, *Pascin*, — i tylu, tylu innych, których niepodobna wliczać, a którzy wszyscy poprostu niezbędni są dla zdania sobie sprawy z charakteru dzisiejszej sztuki francuskiej?

gorzej jeszcze wygląda sprawa z lewicą. Nie można uważać jej za dostatecznie reprezentowaną

przez jedną kompozycję genialnego *Picasso’a* i jedną *Braqu’a* (w dodatku pochodzące z ich bardzo dawnej fazy twórczości) — i jeden kicz *Marcoussi*. Nie widząc wspaniałych pod względem kolorystycznym rozwiązań *Picasso’a*, dynamicznych kompozycji *Braqu’a*, nie znając zupełnie *Orenfanta*, *Gleize’a*, *Jeanereta*, *Légera*, *Juan Gris* i t. d. i t. d. — trudno, aby warszawska publiczność zrozumiała naprawdę kubizm i wszystkie niezmierne wartości, tkwiące w nim — mimo jego niezaprzeczonych błędów.

Ale dobre i to! Dobrze jest, że możemy w naszej szarej Warszawie popatrzeć choć na tych kilka promienistych, drgających życiem i światłem, arcydzieł...

J.



TEATR WIELKI:

„Wesele Figara” opera Mozarta. Kierownictwo muzyczne Bojanowskiego, reżyserja Freszla.

Prawdziwe arcydzieła się nie starzeją i, oglądane w perspektywie czasu, tem bardziej zyskują na wyrazistości, im mniej starano się je odświeżać i uwspółcześniać. Gdyż poza niezniśchalnymi walorami ich treści wewnętrznej, dla dzisiejszego widza i słuchacza mającymi znaczenie raczej historyczne, istotę ich uroku stanowi styl epoki, nadający swoiste oblicze ludziom, ich uczuciom, słowom, gestom i postępkom.

Klasyczna komedia Beaumarchais znalazła idealny wykładnik muzyczny w genialnym dziele Mozarta. Finezja, gracia, słoneczny sentyment, rozkoszna perlistość, prowokacyjna w swej pozornej niewianości zmysłowość muzyki — podnosi urodę tej satyrycznej idylli, w której wszystkie konflikty przecina się nie szpadą, lecz uśmiechem, gdzie enota pobija występki jego własną bronią, czyniąc z walki o miłość zabawę, z udaremnionej zdrady — przesłiczną maskaradę.

I my, którzy dziś wiemy, że komedia Beaumarchais była onego czasu jednym z najbardziej niebezpiecznych lontów rewolucji, od których zapalili się nagromadzone wiekami feudalizmu wybuchowe materiały buntu, nienawiści i odwetu, — ze szczerem zdumieniem przecieramy oczy. Ach! więc to tak? więc z takim wdziękiem, gracją i nonszalancją ludzie rokoka budowali sobie gilotynę? Więc tyle skarbów młodości, pogody i polotu może wywołać czarodziejstwo muzyki z opadającego kwiatu, który nosi w sobie nieuleczalny zarodek zgnilizny i śmierci?

Nowoczesny widz i słuchacz zarazem „Wesela Figara”, pilnie kontrolujący swoje wrażenia, zapyta sam siebie o pewnym wewnętrznym zakłopotaniem: dlaczego większość oper „serjo”, szczególnie starej szkoły, np. „Aida” albo „Faust”, czy wreszcie „Don Juan” tegoż Mozarta, w najdramatyczniejszych momentach wywołują raczej komiczne wrażenie, gdy tymczasem „Wesele Figara”, pomimo sztuczności sytuacji, od początku do końca ma szczerze, choć figlarno - szelmowskie oblicze?

Jądro zagadnienia tkwi właśnie w tej blażeńskiej skrupce. Falszywy patos — to garb, który każda niemal opera

obnosi po starym, jak świat, rynku konwencjonalnych kłamstw. „Wesele Figara” od tego przyrodzonego kalektwa jest wolne, właśnie dlatego, że w założeniu sztuki tkwi świadoma teatralizacja życia. Bohaterowie jej—Figaro i Żuzanna—postanawiają za wszelką cenę wystrychnąć na dudka tyrańca. Prawdziwa, szczerza, żywiołowa namiętność przywdziewa pudrowaną peruczkę, kluje zartem, jak sztyletem: spryt kielzna brutalność i przemoc, ujeżdża ją, jak rozbrykanego rumaka. Tu niema miejsca i czasu na patos, tu sytuacja goni sytuację, a momenty muzyczne są rozkosznymi etapami odpoczynku w tym wysiłku fortelów i niespodzianek.

Traf zrządził, że w kolejności premier stołecznych arcydzieło Mozarta sąsiadowało z „Operą za trzy grosze” w teatrze Polskim. Po plugawych eksperymentach niemieckiego chamsstwa na anglosaskim preparacie — przenieśliśmy się w atmosferę wielkiej twórczości, która obywatela się zarówno bez kółtunów, jak bez... szubienicy.

Gdyby wykonanie i obsada całkowicie stała na poziomie dzieła, byłibyśmy uczestnikami prawdziwej uczty artystycznej. Na dobro zarówno reżyserji, jak śpiewaków i orkiestry, zapisać należy fakt, że nie było rzeczy rażących, a trafiały się momenty wyjątkowo szczęśliwe, np. arja Cherubina, lub duet Rózy z Żuzanną. Może to nie był ten autentyczny, idealny Mozart, do którego tęsknie wzdychają znawcy, ale to była opera warszawska, w swojej najlepszej, jak na obecne warunki, formie.

Z wykonawców podkreślić należy staranną kreację pani Karwowskiej w roli Żuzanny i urocze zjawisko, jakim był Cherubin pani Olgi Olginej. Głos p. Michałowskiego brzmiał w partji Figara może nieco zaciężko, co przy masywnej statucie tworzyło sylwetkę zbyt brylowatą; Hrabia Romejki zamała miał temperamentu, jak na tępogłowego, ale lubiącego miłosne przygody, magnata.

Te drobne usterki gasną jednak wobec całości widowiska, które miało właściwe, niesfałszowane oblicze epoki.

S. P. O.



Władysław Rymkiewicz: „Pan swego życia”.
Nakład Gebethnera i Wolffa 1929 r.

Uczciwa robota, uczciwa proza. Bez silenia się na oryginalność pomysłów, bez łamańców stylowych. Wyjątek stanowi nowela „Wiesław i Gladys”, nagrodzona na konkursie „Wiadomości literackich”, gdzie mętnie potraktowana przygoda erotyczna sprawia wrażenie rebusa z dziedziny patologji seksualnej. Natomiast szkic powieściowy „Pan swego życia” jest poprawnie spreparowanym wycinkiem życia sfery burżuazyjno - urzędniczej. Młody autor kroczy tak pewnie utartymi ścieżkami techniki powieściowej, że aż chwilami zaczynamy powątpiewać o jego młodości. Wątpliwość ta przeradza się w całkowitą dezorientację, przy czytaniu noweli: „Różowe — złote — czarne”, gdzie puszczono w obieg zupełnie już zdewaluowane kategorie podwójnej moralności. Dwoje ludzi młodych, wolnych, poznało się i pokochało. Każde z nich ma swoją przeszłość erotyczną, za którą mężczyzna nie czuje się w obowiązku ponosić najmniejszej odpowiedzialności, ale z powodu której piętnuje ukochaną kobietę i opuszcza ją brutalnie, bez słowa wyjaśnienia. Sytuacja bardzo pospolita i bardzo życiowa, ale zdumiewają-

cym jest stosunek do niej autora, który, uznając fakt, że prawdziwa miłość odradza zarówno mężczyźni, jak kobiety, i likwiduje wszelkie miłostki, — jednocześnie zapomina, że żadne prawo nie obowiązuje wstecz i że absurdem jest wymagać od kogoś wierności, zanim się jeszcze tego kogoś poznało.

Okazuje się, że do pewnych konfliktów trzeba dojrzeć, choćby nawet w ocenie przeciętnych zjawisk życiowych ujawniało się przedwczesną dojrzałość. Nie wątpimy, że autor, który zdolał już całkowicie opanować styl i formę powieściową, pójdzie dalej w kierunku koncentrycznym i pogłębi swój stosunek do rzeczywistości

S. P. O.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ:

- Wacław Gąsiorowski: „Czarny General” — romans historyczny
B. Schlager: „Majster Stryk”
„Szpón w rękawie”
Narcyza Zmichowska: „Czy to powieść?” — z przedmową Boya-
zeleńskiego.
Joseph Conrad: „Między lądem a morzem” (wyd. drugie, poprawione).

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE”:

- Antoni Marczyński: „Upióry Atlantyku” — powieść.
Edgar Wallace: „Zemsta sprawiedliwych”
Maksym Gorkij: „Serce Matki”
Edgar Wallace: „Zielony Łucznik”
Joséphin Peladan: „Serce w udreće”
Henryk Robert: „Zdrada na tronie”

KSIEGARNIA SW. WOJCIECHA.

- Ks. Biskup Rougaud — „Jezus Chrystus”
Ks. Kramczyk — „Graj pieśni”
Stiernsted — „Ullabella”

KSIEGARNIA F. HOESICKA.

- Stanisław Helsztyński: „Liryka angielska XXw.”
Jan Lorentowicz: „Dwadzieścia lat teatru”

BIBLIOTEKA KWADRYGI.

- Stanisław Ciesielczuk: „Pies kosmosu”
Aleksander Malinowski: „Czarna Beatrycze”
Stefan Flukowski: „Słońce w kieracie”
Stanisław R. Dobrowolski: „Pożegnanie Termopil”
Nina Rydzewska: „Miasto”

ZABURZENIA W TRAWIENIU PRZEWLEKŁE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA, ORAZ NADMIERNĄ OTYŁOŚĆ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, USUWAJĄ „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA” (z KOGUTKIEM). SPRZEDAJĄ APTEKI I SKŁADY APTECZNE. — GŁÓWNY SKŁAD: APTEKA A. GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

DRUGI WALNY ZJAZD DELEGATEK ORGANIZACJI
PRZYSPOSOBIENIA KOBIET DO OBRONY KRAJU

Odbył się w Warszawie dnia 12 maja 1929 roku.

Zjazd poprzedziła msza św. w kościele garnizonowym przy ul. Długiej, poczem nastąpiło poświęcenie sztandaru w obecności rodziców chrzestnych: p. prezydentowej Mościckiej i p. min. W. R. i O. P. dr. St. Czerwińskiego, oraz p. marszałkowej Piłsudskiej i dyr. państwowego urzędu W. F. i P. W. pułk. Kilińskiego.

Następnie na placu przed świątynią odbyło się wbijanie gwoździ w drzewce sztandaru i defilada jednostek P. W. K. organizacji. Defilada odbyła się sprawnie pod kierunkiem instruktorek, przyczem można było zauważyć ogromną różnorodność wzrostu i rozwoju fizycznego wśród hufców. Należą do nich mogą dziewczęta od 16 lat wzwyż, a wiele zpośród nich wygląda na dziewczynki 10-cio letnie. Nasuwa się stąd wniosek o konieczności ćwiczeń fizycznych wśród najszerszych mas.

Otwarcie zjazdu poprzedziła krótka, pełna zapału przemowa komendantki głównej p. Wittekówny, która zaznaczyła, że obecnie, kiedy organizacja posiada 6 tysięcy członkiń, stało się możliwym ufundowanie sztandaru, bo jest komu się nim opiekować. Nawoływała zastępy do podtrzymania zapału i ognia w umiłowanej idei do wierności pracy — pracy dla Polski od lat najmłodszych.

Na przewodniczącą zjazdu powołano p. Michałowską, która zaznaczyła w przemówieniu, że jest to pierwszy rok sprawozdawczy. Organizacja P. W. K. posiada 26 Kół i 5426 kobiet ćwiczących. Zaznaczyła, że organizacja pragnie wywalczyć zasadę powoływania w razie potrzeby wszystkich kobiet do pomocy w obronie kraju, w zakresie ich możliwości fizycznych.

Zgodnie z porządkiem dziennym, p. Wittekówna wygłosiła referat „o pracy ideowej P. W. Kobiet”. Praca ta trwa zgórą 7 lat. Musiano walczyć ze społeczeństwem, zmęczonym wojną, które nie rozumiało ideowości P. W. K., a istnienie takiej organizacji pomocniczej uważano za zbędne. Stosunek do wojskowości był nieregulowany. Po wielu jednak wysiłkach i dzięki ideowej wytrwałości dawnych pracowniczek legji — idea przetrwała, a przy pomocy miarodajnych czynników wojskowych od 2 lat rozwija się pomyślnie po przewyciężeniu prac organizacyjnych.

Chodzi o przygotowanie ideowych kadr kobiecych, karnych, punktualnych, odpowiedzialnych za swoje słowa. Trzeba,



Wbijanie gwoździ w sztandar

aby w razie potrzeby mogły brać udział w pracach wojskowych i państwowych takich, któreby nie przekraczały ich możliwości fizycznych. Dlatego hufce nie ćwiczą nigdy z bronią w ręku. Trzeba przygotować służbę pomocniczą: sanitarną, łącznikową, wywiadowczą, samorządową i t. p. Chodzi o duchowe podtrzymanie społeczeństwa, o opiekę nad żołnierzem aż na najdalszym froncie, o rozsiewanie wszędzie otuchy, o samoobronę osiedli ludzkich przed gazami i t. d.

Praca ta odpowiedzialna, ideowa, pociąga coraz więcej ku sobie, a widowym jej rezultatem jest wzrastająca ilość członkiń przeszkolonych. Zgłasza się mnóstwo kandydatek, ale na tę ilość brak obecnie instruktorek do szkolenia i wychowywania. Tembardziej, że daje się odczuwać brak pomocy materialnej.

Po dyskusji uchwalono wniosek, aby Koła lokalne pracą swą wpływały na zdobycie funduszków na potrzeby Kół.

Nastąpiło sprawozdanie zarządu, Kół poszczególnych i komisji rewizyjnej.

Wreszcie wręczono sztandar Kołu lokalnemu warszawskiemu, stosownie do uchwały zarządu, który postanowił przekazywać sztandar temu Kołu, które wykaże najlepsze wyniki prac.

Na herbatce towarzyskiej zakończono ten piękny dzień, rozjeżdżając się do dalszej, wytrwałej pracy dla dobra Ojczyzny.

M. Dobr.

PRAWDZIWIE AMERYKAŃSKA ORGANIZACJA MIESZKAŃ.

Miss Mary Rokahr, znana amerykańska uczona, specjalistka w zakresie racjonalnego budownictwa, została obecnie mianowana pierwszą ekspertką uniwersytetu w Wyoming. Panna Rokahr prowadzić będzie z ramienia uniwersytetu naukową inspekcję wszystkich gospodarstw ferm i nowo budujących się domów w Stanie Wyoming, udzielając wskazówek, jak budować i urządzać wnętrza mieszkań i budynków gospodarskich, aby osiągnąć maximum higieny, wygody i organizacji pracy.

N. J.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. M. B. z Lubelskiego. W tej sprawie zechce się Szan. Pani zwrócić do p. Róży Bailly — 16 Rue de l'Abbé de l'Épée, Paris V, — opisując dokładnie warunki. Napewno wszystko zostanie pomyślnie załatwione, ku zadowoleniu obu stron.



Uczestniczki w marszu

SZTUKA A KOBIETA I WNEȚRZE JEJ DOMU

Wystarczy wziąć dziś do ręki którekolwiek czasopismo, by natrafić na artykuł o sztuce stosowanej, zdobnictwie, kilimezarstwie i t. p. Zwrot ku uartyściźnieniu przemysłu jest znamienym i bardzo dodatnim rysem czasów obecnych, to też nigdy za dużo nie może być słów, głoścących jego hasła.

Im więcej jednak czytam na ten temat, tem silniej rzuca mi się w oczy kontrast między teorią, a rzeczywistością; tem boleśniej odczuwam, jak dalekim jest jeszcze ogół społeczeństwa naszego od umiejętności otoczenia się rzeczami codziennego użytku o artystycznej formie. Zbyt mała garstka jednostek odczuwa potrzebę tej formy, to też zbyt wiele brzydkiej tandety otacza nas wokół, a najpiękniejsze pomysły artystyczne spoczywają niewyzyskane.

Dorzucając znowu jeden artykuł więcej z tej dziedziny, nie będę pisać o konieczności i znaczeniu rozwoju sztuki stosowanej, by nie otwierać drzwi szeroko otwartych, lecz chcę omówić jej praktyczne zastosowanie w odniesieniu do naszego życia codziennego. Tu nasuwają się dwa zagadnienia: 1) umiejętność zastosowania i 2) umiejętność wyboru tak pod względem użytkowości, jak i formy zewnętrznej nabywanych przedmiotów.

Sztuka ogarnia coraz szersze dziedziny życia praktycznego i coraz głębiej zaczyna je przenikać. Rażą nas już nieartystyczne plakaty, afisze i etykiety. Wnętrza sal, gmachów publicznych, kawiarni i restauracyj, a nierzadko i magazynów sklepowych są azylami artystów - plastyków. Dążyć winniśmy do tego, żeby każdy rzemieślnik i fabrykant wyroby swe wykonywał podług artystycznych wzorów, by tym sposobem podnieść poziom estetyczny przedmiotów, wykonywanych masowo mechanicznie i wpajając w ogół nabywców zamiłowanie do pięknych kształtów i wzorów.

Aby cel ten osiągnąć, trzeba, żeby ci, którzy już obecnie odczuwają potrzebę artystycznej formy, domagali się jej wszędzie, szukali i zapełniali nią swe środowiska w możliwie najwszechstronniejszym znaczeniu. W tym wypadku przykład, umiejętność zastosowania odegra pierwszorzędną rolę, tembardziej, że wpływ otoczenia oddziałuje na nas silniej, niż sobie z tego zdajemy sprawę, i opanowuje, często podświadomie, nawet pozornie najbardziej odporne jednostki.

Argumentem, wysuwany najczęściej przeciwko naszym wyrobom przemysłu artystycznego — jest ich wysoka cena. Jest rzeczą oczywistą, że przedmiot pojedynczy, w którym zamknięta została część twórczego ducha ludzkiego, musi na rynku zbytu posiadać wyższą cenę od towarów, wyrabianych tysiącami, fabrycznie.

Zwiększony popyt zmieni warunki i w tej dziedzinie wytwórczości, nie w odniesieniu do przedmiotów niereprodukowanych, gdyż te, jako oryginalne dzieła sztuki, zawsze będą posiadać cenę wyższą — lecz w stosunku do wytworów przemysłu artystycznego, które podług projektu twórcy są odtwarzane w pewnej liczbie egzemplarzy.

Praktyczne zastosowanie omawianej kwestji nie zaczyna się obowiązkowo od rzeczy wielkich i drogich; raczej drobne, częściej nabywane, mają tu większe znaczenie. Kupując np. prezenty za kilkanaście lub kilkadziesiąt złotych (zwłaszcza zbiorowo, z okazji jubileuszów, ślubów i t. p.), zwróćmy uwagę m. inn. na artystyczną ceramikę, gdzie w najmniejszy nawet garnuszek lub czarkę zaklęta została myśl twórcza. W tym samym celu pamiętajmy o artystycznych wyrobach w skórze, drzewie, jedwabiu (batiki). Nawet kupując pudełka z czekoladkami, wybierajmy te, na których widnieją ozdoby, wykonane podług projektu niejednego znanego malarza (Norblin i inni). Tak samo winniśmy postępować, oddając nasze książki do oprawy, wybierając wzory do robót i t. p.

Zdobądźmy się na heroizm wyrzucenia ze ścian naszych mieszkań wszystkich oleodruków, które pokutują jeszcze w wielu domach inteligentnych ludzi, a w braku oryginalnych prac, zastąpmy je autolitografjami, akwafortami, drzeworytami. — które, choć niedrogie, posiadają artystyczną wartość. Gdy mamy kupić na leżankę t. zw. pluszową narzutkę, lub pokryć foteliki rozpowszechnioną dziś wszędzie materją „gobelinową“, pomyślmy, czy nie dałoby się zastosować samodziółów (artystycznych tkanin lnianych), w których odpowiednim wzorem, doborem barw i techniką osiągnięto już dziś zdumiewające rezultaty. Są one zupełnie niedrogie i świetnie nadają się na pokrycia mebli, makatki na ściany, nakrycia stołów i t. p. Najlepsze stosunkowo zastosowanie i rozpowszechnienie zdobyły sobie kilimy i dywany strzyżone.

Przykładów takich możnaby mnożyć wiele. Chcę jeszcze dorzucić ich kilka w odniesieniu do sposobu urządzania naszych mieszkań, gdyż sposób ten w dużej mierze wpływa na utrudnienie lub ułatwienie zastosowania wyczynów przemysłu artystycznego.

Jedną z najtrudniejszych kwestyj, jest umeblowanie mieszkania. Nie będę tu mówić o ludziach, meblujących luksusowe apartamenty, własne wille podmiejskie i t. p., chociaż stosunek ich do artystycznej twórczości i wytwórczości pozostawia dużo do życzenia. O wiele bardziej skomplikowaną sprawą jest urządzenie mieszkania dla ludzi, należących do inteligencji pracującej. Przy rozwoju w ostatnich czasach spółdzielczego ruchu budowlanego, niejedna rodzina zdobyła już „własny dach nad głową“, co pociągnęło za sobą konieczność uzupełnienia starego lub nabycie nowego umeblowania.

Tu jednak sztuka ma ciężkie zadanie. Musi ona zwalczać materializm doby ostatniej, który wyrugował dawne, piękne tradycje, błakające się w zabytkach antycznych i powoli dopiero ustępuje miejsca nowym kierunkom.

Plagą przeciętnych mieszkań jest szablon i wiejąca stąd beżduszość. Plagą są owe szablonowe, na jedną modłę sklecone t. zw. komplety: jadalniane, sypialny i t. d., od których zdoła się uwolnić zaledwie minimalny procent świeżo meblujących się rodzin, a które zapełniają nasze magazyny meblowe. Komplety takie nie są tanie, pochłaniają najczęściej całą przeznaczoną na ten cel gotówkę, nie pozostawiając już nic na przykrycie rażącej golizny ścian, podłogi, stołów i t. p. To też z pokoju wieje chłód i pustka. Żadnego punktu, na którym oko spoczęłoby chętnie, żadnego zacisznego kącika, nęcącego do pogawędki, lub poczytanki. O wiele lepszy osiągniemy efekt przez zużytkowanie części starych mebli, umiejętnie je przykrywając i ozdabiając kilimem, makatką, artystycznymi drobiazgami, a w miarę możności zastępując je nowymi, lecz nie szablonowymi (np. meble, wykonane podług projektów art.-malarzy, specjalnie w tym dziale pracujących, jak prof. Jastrzębowski, Czajkowski, Kotarbiński i inni, oraz uczniów, pracujących pod ich kierunkiem).

Urządzenie mieszkania — to pole dla inicjatywy i pracowitych rąk kobiecych. Cóż np. trudnego w stworzeniu miłego zakątka w pokoju, przeznaczanego na „dolce far niente”? Obić róg pokoju materją kolorową, kilimem, samodziałem, lub choćby wzorzystym kretonem; tem samem pokryć kanapkę czy otomanę; umieścić na ścianie półeczkę z książkami, lub wyżej, ponad obiciem — na artystyczne spręciki. Stolik, fotel, lampa z odpowiednim abażurem, kilka poduszek, rzuconych na otomanę, uzupełnią całość. Kobieta, która jest bezsprzecznie duszą domu, potrafi stwarzać podobne możliwości w różnych odmianach.

W ilustrowanych pismach zagranicznych często spotkać możemy rysunki wnętrza, na których uwidocznione jest, w jaki sposób uczynić w az. eń zawadzające łóżka—sprzętami pożytecznymi. Przykryte są one całymi dywanami, lub odpowiednią materją, zarzucone różnorodnymi poduszkami i zmienione w ten sposób na kanapy. A ileż miejsca pochłaniają w naszych, obecnie tak ciężkich, warunkach mieszkaniowych — sypialne pokoje, przez cały dzień bezużyteczne! Są jednak przeważnie pozostałością z poprzednich czasów.

Trudno zato zrozumieć zjawisko dziś jeszcze tak częste, jak sposób meblowania się osób samotnych lub młodych małżonków, mieszkających w wynajętym pokoju. Chcąc czuć się bardziej „u siebie” i nie mieszkać w „cudzych gratach”, zdobywają się na własne meble. Środek przeważnie średniej wielkości pokoju zajmuje szerokie łóżko; ogromna szafa z lustrem

wypełnia przeciwległą ścianę, toaleta z drugim lustrem, malutki, okrągły stolik, dwa (dosłownie) krzeselka i „gondolka” przed tualetą — dopełniają kompletu. Czy może mi kto zaprzeczyć, że widział dziesiątki w ten sam sposób nowomeblowanych pokoi? Różnica polega tylko na kolorze, jakim meble zostały pociągnięte, lub wykroju lustra w toalecie. I czy w tak szablonowym pokoju można naprawdę czuć się „dobrze” i „u siebie”?

Powoli jednak i ten przesąd zostaje przelamywany. Ludzie, którzy zmuszeni są do mieszkania w jednym pokoju, starają się go przystosować do wymagań życia. Zamiast łóżek zjawiają się tam wygodne otomany z szufladami na pościel, które, przykryte kilimem, zarzucone barwnymi poduszkami, zmieniają zupełnie charakter pokoju, umożliwiając spędzenie w nim wolnych chwil od pracy, przyjęcie gości i t. p.

Przechodząc od zastosowania do drugiego zasadniczego problemu — wyboru przedmiotów przemysłu artystycznego — wyłania się tak ważna w każdej dziedzinie badań umiejętność podejścia do danego zagadnienia. Z chwilą, gdy patrząc na jakiś przedmiot, zastanowimy się, kto był jego twórcą — z tą chwilą wnikiemy w jego głąb, sięgniemy do duszy przedmiotu martwego, który odtąd zacznie dla nas żyć i przemówi swą potężną wymową, dotąd przez nas nie docenianą.

Umiejętność wyboru musi się odnosić do formy zewnętrznej, użytkowości i wartości artystycznej danego wytworu. Niekażdy kształt sprzętu, ornament, samodział czy pasiak łowicki dadzą się zastosować do danego otoczenia. Kiedy indziej niemały kłopot nastęrcza praktyczne zastosowanie danego przedmiotu, jak to miało miejsce z meblami, projektowanymi przez Wyspiańskiego, o których właściciel ich, Boy - Żeleński wspomina, że torturą było w nich mieszkać, a „każdy mebel zaawał się mówić: — cierp i czuwaj!”. Również nie jest wystarczającym nabycie np. kilimu, by być pewnym, że się jest posiadaczem artystycznego przedmiotu.

Naoczny przykład mieliśmy do niedawna w Warszawie, gdzie w sali Colosseum odbywała się wystawa i sprzedaż kilimów „gliniańskich”. Nie chcąc wchodzić w szersze rozważania, mogę tylko określić je, jako przykład wybitny — jakich kilimów robić się nie powinno.

To, że wytwory podobne znajdują chętnych nabywców, smutnie świadczy o małym wyrobieniu artystycznym naszego ogółu społeczeństwa. Gdzie jednak ma się ono pod tym względem kształcić? Wszystkie dotychczasowe wystawy, poświęcone częściowo lub w całości urządzeniu wnętrza, zawiodły w zupełności. Brak nam pism fachowych, przystępnie traktujących te sprawy, zwłaszcza w zastosowaniu nie do apartamentów zbyt kownych (np. „Architekt” „Architektura i Budownictwo”), lecz do mieszkań średnio

zamożnych ludzi. A możeby nasze, istniejące już, czasopisma ilustrowane zwróciły uwagę na kwestję urządzania wnętrz i poświęciły tej dziedzinie specjalne rubryki i rysunki? Wypełniłoby to dużą lukę naszego życia kulturalnego i równocześnie dało pole młodym talentom twórczym do zaznajomienia ogółu z rezultatami swych prac. Brak również instytucji doradczej a przystępnej, któraby w tym kierunku dawała odpowiednie rady i ułatwiała ich wypełnienie, zwłaszcza osobom, nie mieszkającym w większych miastach. Są to pola pracy dla kobiet, w tym kierunku uzdolnionych, bardzo odpowiednie, a w Polsce zupełnie jeszcze nie wyzyskane.

Tym, którzy chcą dziś nabyć przedmioty przemysłu artystycznego i mieć gwarancję ich rzeczywistej wartości, radzę zwracać się tylko do najwybitniejszych w tym dziale instytucyj, pozostających pod kierunkiem czy to znanych jednostek, czy zespołów szkolnych i t. p. Na terenie Warszawy wymienić należy „Towarzystwo popierania przemysłu ludowego“ (dyr. art. - mal. Młodzianowski), posiadające już filje w innych miastach. Tow. „Ład“ pracujące pod kierunkiem profesorów Szkoły Sztuk Pięknych (Jastrzębowski, Czajkowski). Tow. „Polska Sztuka Dekoracyjna“ (przewodnicząca Bobrówna, odznaczona przez rząd francuski „palmami akademickimi“ podczas wystawy sztuki dekoracyjnej w Paryżu); koncentruje ono głównie wytwórców sztuki zdobniczej.

Dla tych czytelniczek, zwłaszcza z prowincji, które mają możliwość pobytu przez pewien czas w Warszawie i chciałyby go wykorzystać dla zaznajomienia się z jakąś gałęzią sztuki dekoracyjnej, podam w niedługim czasie opis poważniejszych szkół i kursów warszawskich z tego zakresu.

Na zakończenie — apel do wszystkich kobiet: niech żadna nie lekceważy wpływu otoczenia domowego. Nawet najmarniejsze pomieszczenie zmieni do niepoznania swój charakter, gdy włożymy w nie cząstkę swej duszy; żałować jej nie należy: wróci do nas z lichwiarskim procentem!

Atmosfera i otoczenie domowe jest często tem najdroższem wspomnieniem lat młodych, które unosimy ze sobą w świat szeroki. Dał temu niedawno wyraz Ford. Miljoner amerykański, odtwarzając do najdrobniejszych szczegółów dom swej matki — wypisał na frontonie dewizę: „Niemasz piękniejszego pałacu nad dom rodzicielski“. Niechaj więc nasze młode pokolenia wzrastają w poczuciu zamiłowania i zrozumienia potrzeby estetyki i artyzmu w życiu codziennem, by sami potem dalej krzewić je mogli.

A myślę, że nie będę daleką od prawdy, jeśli powiem, że owa dość powszechna dziś niechęć do t. zw. „życia domowego“, o którego zaniku często się mówi, pochodzi w dużej mierze z nieumiejętności urządzenia sobie tego „domu“, choćby w jednym, odnajętym pokoju.

Zofja Drabikowa.

PLACÓWKI GOSPODARCZE DLA KOBIEC

II

Mleczarstwo

Produkcja i przerób nabiału — to jeden z najważniejszych działów gospodarstwa wiejskiego; niestety, poziom jego w Polsce jest dotychczas niski, przeciętna mleczność krów w większości gospodarstw bardzo mała, a większość mleka przerabiana jest przez gospodynie małorolne na masło osetkowe, z pominięciem podstawowych zasad czystości, i daje produkt nad wyraz lichy.

Już przed wojną Kółka rolnicze i gospodyń prowadziły zaczęły usilną propagandę w kierunku zakładania mleczarni spółdzielczych; obecnie ruch ten wzrasta z każdym miesiącem, co umożliwiło rozpoczęcie wywozu masła zagranicę.

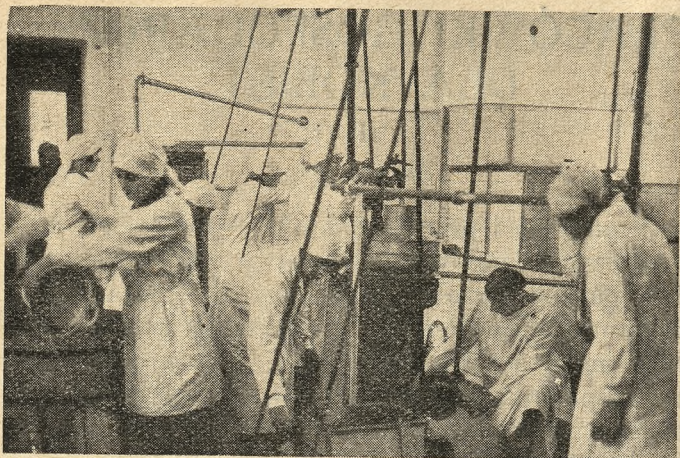
Ten ruch jest objawem nad wyraz pomyslnym, ale tylko w tym wypadku, jeśli idzie współmiernie ze wzrostem spożycia nabiału przez polską ludność, a nie jest oparty tylko na odejmowaniu od ust jej, a zwłaszcza od ust dziecięcych — tak ważnego środka żywności w celu wywozu zagranicę.

Z tego powodu gospodynie wiejskie i młodzież na wsi nie zawsze patrzą chętnem okiem na powstawanie mleczarni spółdzielczych, bo chociaż przerób nabiału w mleczarniach ujmuje pracy gospodyni, ale jednocześnie odbiera jej dochód, którym dotychczas rozporządzała, i pozostawia jej często znikomą ilość mleka pełnego, t. j. nieodtłuszczonego, dla potrzeb kuchni. Młodzież, która otrzymuje mniej nabiału, zwłaszcza masła, z chwilą, gdy ono jest wyrabiane w mleczarni, czuje się pokrzywdzona i daje wyraz swej niechęci, przez wrogi stosunek względem mleczarzy.

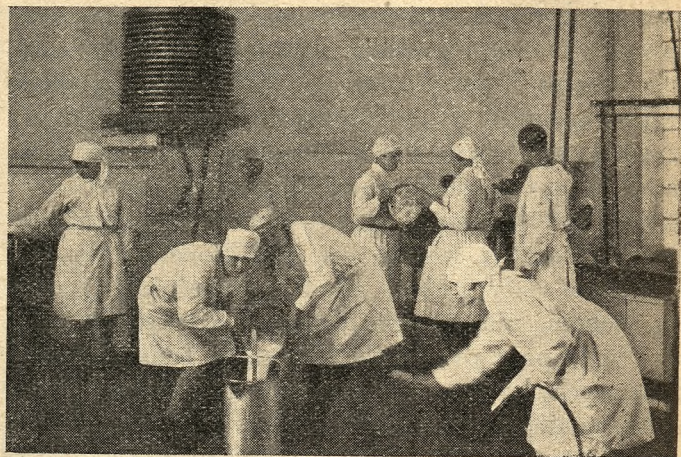
Z tych powodów jest rzeczą bardzo pożądaną, aby mleczarstwo udoskonalone i prowadzenie mleczarni spółdzielczych było w rękach kobiet, które okazują większe wnikanie w warunki społeczne wsi i in-



Przyszłe kierowniczkimleczarni



W hali maszyn



Chłodzenie śmietanki

interesują się domowymi stosunkami poszczególnych dostawców.

Przerób nabiału w mleczarniach spółdzielczych, stanowi dużą ulgę w pracy kobiet wiejskich, ulepsza gatunek towaru, wpływa na podniesienie mleczności krów i powiększa dochody wsi — jest więc ogromnie pomyślnym objawem. Odpadki z mleczarni stanowią cenną paszę dla wszelkich młodych zwierząt, a także przy tuczeniu świń i żywieniu kur nieśnych, ale co ważniejsze, mleko odtłuszczone można przerobić na trwałe i pożywne sery, których dotkliwy brak od-
czuwamy w naszym żywieniu.

Wszystko to przemawia za tem, żeby kobiety, które dotychczas zajmowały się nabiałem w sposób pierwotny, obecnie kształciły się na fachowo uzdolnione kierowniczkę mleczarni i uczyły się wyrobu udokonalonych serów.

Naukę mleczarstwa pobierać mogą w specjalnej szkole, założonej w Szafarni, koło Golubia na Pomorzu i prowadzonej przez p. Szymkiewiczównę, która przez lat parę przygotowywała się specjalnie do prowadzenia tej pożytecznej placówki.

Program szkoły obejmuje: mleczarstwo, technikę mleczarską, badanie nabiału, maślarstwo, serowar-

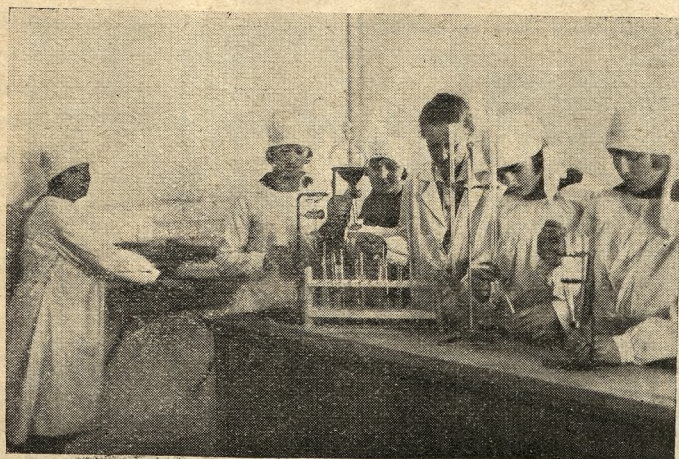
stwo, chemję organiczną i nieorganiczną, bakterjologję, fizykę, maszynoznawstwo, buchalterję, naukę obywatelstwa, spółdzielczość mleczarską, weterynaryję, gospodarstwo domowe. Uczennice wykonują wszystkie prace w mleczarni pod kierunkiem instruktorów i obsługują oborę i chlewnie. Do przyjęcia wymagane jest ukończenie 6-iu klas szkoły średniej, lub równoważny egzamin, ukończenie 18 lat, zdrowie i tężyzna fizyczna.

Oplata za naukę wynosi 200 zł. rocznie, za internat 80 zł. miesięcznie. Podania o przyjęcie należy skierowywać do Dyrekcji szkoły, z dołączeniem metryki, świadectwa szkolnego, lekarskiego i życiorysu.

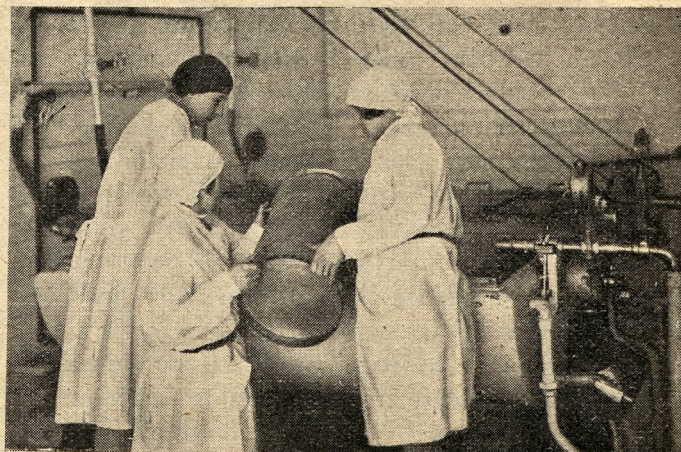
Nauka trwa 2 lata i rozłożona jest w sposób następujący:

półroczny kurs maślarzki — badanie nabiału; podstawowe wiadomości z przyrody, w związku z mleczarstwem, i pomoc w nagłych wypadkach chorób zwierzęcych.

Przez następne półrocze ćwiczą się laborantki, przechodzą chemję analityczną jakościową i ilościową w głównych zarysach, i ćwiczenia praktyczne, obejmujące też dokładniejsze sposoby badania nabiału.



Laboratorium



Wylewanie mleka z konwi do zbiornicy

Drugi rok poświęcony jest serowarstwu, jego bakterjologii i poznaniu procesów chemicznych, zachodzących w serach.

Nauka praktyczna trwa od 8 — 12 rano; uczennice, podzielone na grupy, przechodzą kolejno obsługę mleczarni, obory i chlewni. Od 3 — 6 są wykłady, od 8 i pół — 9 czytanie pism mleczarskich.

W roku bieżącym jest 30 uczennic w wieku 18—34 lat, a w tej liczbie 3 na półrocznym kursie mleczarskim, 2 laborantki; 25 ukończyło kurs maślarski i pozostają na kursie serowarskim.

Co do wykształcenia — to 1 uczennica była słuchaczką III kursu politechniki Lwowskiej, 4 są maturzystki, 15 ma sześcioklasowe wykształcenie, 2 ukończyły szkołę rolniczą, pozostałe — seminarjum nauczycielskie.

P. Szymkiewiczówna, której uprzejmości za wdzięczam szczegółowe dane co do programu i rozwoju szkoły w Szafarni, zaznacza, że początkowo uczennice, nie przyzwyczajone do wytężonej pracy fizycznej, bardzo się męczyły, wkrótce jednak wzmocniły się ogromnie, zahartowały i radzą sobie z łatwością; jest nadzieja, że na stanowiskach samodzielnych będą pracowały z wielkim pożytkiem. *M. Karczewska.*

WARTOŚĆ CZASU

Niema chyba u nas bardziej lekceważonego przysłowia nad „czas — to pieniądź“. Nasza niepunktualność w wykonaniu obstalunków i zamówień, spóźnianie się wszędzie — czy to do pracy, czy nawet na zabawę — są to, niestety, rzeczy powszechnie znane.

Panuje powszechne mniemanie, że czas — to pojęcie abstrakcyjne, czas — to coś nieuchwytnego, coś, czego kupić nie można i co się sprzedać nie da, więc można się z tem nie liczyć. Wywieszane w biurach i sklepach sentencje, nawołujące do poszanowania swego i cudzego czasu, pozostają, niestety, w większości wypadków na papierze, a raczej — na ścianie. U nas to rzecz zwykła: przyjść z interesem na chwilę, a siedzieć godzinę, bo czas nie kosztuje. Kupować drobiazg, a przerzucić cały sklep, bo czasu jest tyle. Późno wstać, ubierać się wolno, godziny oczekiwać u fryzjera, nie śpiesząc się, bo czasu jest tyle, że nie wiadomo, co z nim zrobić.

Przykładów takich możnaby u nas mnożyć bez końca. Już po sposobie chodzenia ludzi na naszych ulicach można zauważyć, że nikomu nie pilno. Na Zachodzie każdy piechur pędzi do jakiegoś celu: do pracy, po zakupy, na sport, na spacer, na posiłek. U nas włożenie się po ulicach wolnym krokiem, spacerowanie — to stały objaw. I dopiero ten, kto się naprawdę śpieszy, kto do wytkniętego celu dąży, ten

tylko ocenia plagę powolnego chodzenia po ulicach. Znamienne jest też uliczne gapiostwo, kiedy to tłum zwarty stoi, patrząc, jak upadł biedny koń, jak wiercą dziurę w jezdni, jak coś reperują, jak idzie pogrzeb, lub przejeżdża orszak dyplomatyczny. Patrzą na tych innych, zajętych pracą, i stoją, nierzadko z tekami pod pachą.

To samo leniwe tempo, które widzimy na ulicach, da się zauważyć i wewnątrz. W sklepach tak często jeszcze załatwiają klienta żółtym krokiem. W urzędach rozmówki towarzyskie pomiędzy współpracownikami i sławna herbata — zabierają tyle czasu, że ogonki interesantów stoją szeregiem, cierpliwie czekając. I tylko ci, co znają czas i jego wartość, ośmielią się sarkać i protestować.

A przecież ten lekceważący, darmowy czas tyle dać może! Trzeba go tylko umieć brać. Trzeba pamiętać, że jest, i nie marnować go lekkomyślnie.

Oto nęci oko ulubione czasopismo, leży ciekawa książka. Coś się podarło i trzeba to spokojnie zreperować; leży zaczęta śliczna robota. Afisze teatralne i różnych wystaw wabią ku sobie. Słońce dogrzało i woła na zwawy ruch, na przechadzkę daleką. Ktoś miły telefonuje i trzeba by się zobaczyć, pomówić, posłuchać. To wszystko daje czas i woła, żeby brać.

Dwie kategorie ludzi mają czas: ci, którym go zawsze brak, którzy upadają pod brzemieniem obowiązków i prac, na siebie wziętych, i ci, którzy go mają za dużo, tak dużo, że nie wiedzą wprost, co z nim zrobić. I jedni i drudzy są pożałowania godni. Ci pierwsi dlatego, że nie znają tej radości, którą czas daje — odpoczynku, tej chwili dla siebie, tej osobistej wolności. Ci drudzy dlatego, że nie wiedzą, jaką głębię zadowolenia daje czas przy spełnianiu twardego nawet obowiązku.

Będąc więc za życia „przechodniem“, którego każdy krok zbliża do kresu życia, musimy korzystać z każdej chwili czasu, musimy tak go oszczędzać i tak go dzielić, by nam go na wszystko starczyło. Bo, kiedyś, obejrząwszy się za siebie na przebyty drogę i patrząc przed siebie na ten skrawek, który nam do przebycia pozostał, z rozpaczą stwierdzimy, że na to, co chcielibyśmy jeszcze zrobić, lub czego chcielibyśmy użyć — na to już nie starczyło czasu!

W wyobraźni artystów powstał symbol czasu, jako chudy, siwowłosy starzec o surowym obliczu, groźnym wejrzeniu i z kosą w ręku. Kosa przygotowana jakby na żniwo, jakby do koszenia tych życiowych „przechodniów“, którzy się nigdy wiecznemu Czasowi nie ostoją. Można się dziś nie godzić na tak groźne i nieublagane wyobrażenie symboliczne czasu. Ale dziś, w dobie realizacji wszystkiego, musimy uznać czas, jako jedną z najrealniejszych wartości naszego życia i musimy doń nasze życie przystosować.

Kładąc się z wieczora do snu, zastanowić się trzeba nad jutrem i zobrazować sobie ten dzień. Roz-

ważyć dobrze, co zrobić musimy, i zawnazasu sobie cały ten dzień rozplanować. Każda z nas ma obowiązki rodzinne, zawodowe, społeczne lub towarzyskie i na wykonanie tych obowiązków musi mieć odpowiedni czas. Od jej mądrości, od jej umiejętności ujęcia „à priori“ całego jutra — zależy wiele.

Jeżeli jest kierowniczką licznej służby, musi zgóry wiedzieć, co w gospodarstwie jest do zrobienia, wyznaczyć każdemu odpowiednie czynności, a samej wszystkiego dopilnować. Wymagać musi nade wszystko punktualności od siebie i innych. Bez ścisłego przestrzegania godzin, żaden dom nie może być dobrze prowadzony. Planowość w pracach, punktualność i systematyczność — to podstawy racjonalnie prowadzonego domu. I czy to będzie kierownictwo liczego wiejskiego dworu, czy małe gospodarstwo miejskie, czy dom, gdzie wszystko załatwia sama pani — zasada ta musi obowiązywać stale. A obowiązywać musi dlatego, że do zrobienia jest zawsze dużo, a robić trzeba tak, żeby zostawić trochę czasu dla siebie na odpoczynek.

Zaczynając pracę punktualnie i postępując według zgóry obmyślnego planu, oszczędzamy niezmiernie dużo czasu. Dalszą pomocą w tej oszczędności jest przygotowanie sobie zawnazasu wszystkiego, co do wykonania danej roboty jest potrzebne: np. przy sprzątaniu mieć odrazu w pokoju wszystkie potrzebne do tego przybory; przy szyciu przynieść ze sobą wszystkie potrzebne dodatki i t. p.

Ważną pomocą w wykorzystaniu czasu jest porządek i systematyczność. Kłaść zawsze wszystko na swoim miejscu, doprowadzić porządek w szafach i szufladach do takiego stanu, żeby pociemku można było znaleźć to, co potrzebne. Nic nie rozrzucać. I jeszcze jedno: pilnować, aby wszystko, co się zepsuje, było natychmiast naprawione, wszystko utrzymane w stanie używalności.

Postępując tak planowo i systematycznie, znajdziemy napewno chwilę czasu dla siebie. Wykorzystać ją możemy na spacer, na odwiedziny, na wyprawę po zakupy. Możemy z nią zresztą zrobić, co tylko będziemy chciały, pamiętając, że nasza praca ma też swoją wysoką wartość i po niej nam się odpoczynek należy.

Niezmiernie ważną rzeczą w zaoszczędzaniu czasu jest też umiejętne rozplanowanie domu i ustawienie sprzętów domowych, co już wyłącznie powinno zależeć od pani domu. Bardzo odległa kuchnia, duża ilość schodów, rozległe korytarze — to są warunki, nie sprzyjające oszczędzaniu czasu. Ideałem w tym względzie jest jadalnia, gdzie w ścianie zrobione jest okno do podawania potraw. Sypialnia mieścić się powinna w pobliżu łazienki. Unikać należy nadmiaru sprzętów i drobiazgów, które zbyt wiele czasu absorbują przy sprzątaniu. To samo mieszkanie, umiejętnie i celowo rozplanowane, może dać duże wygody i oszczędzi wiele czasu. I naodwrot: źle rozplanowa-

nie — zamęczy. Oszczędność czasu bowiem chodzi nierozdzielnie w parze z zaoszczędzeniem sił.

A dobra gospodyni i wzorowa pani domu musi oszczędzać własne siły narówni z pieniędzmi i czasem. Bo nie ta jest wzorową panią domu, co się zapracowuje od rana do nocy, ale ta, co pracuje racjonalnie, rozumnie i systematycznie. Ta, co spełniając domowe obowiązki, pamięta o wartości sił własnych, która te siły ceni i oszczędza.

M. Dobrowolska,



ŹRÓDŁA WITAMIN

Kiedy wciąż mowa o witaminach, kiedy zalecają użycie pokarmów najbardziej w te witaminy obfitujących, — zwykła gospodyni nietylko nie potrafi określić ilości i jakości tych witamin w poszczególnych produktach, lecz nawet nie może znaleźć nigdzie dokładnego spisu zawierających je artykułów.

Kompletnej tablicy pokarmów, zawierających witaminy albo dotąd niema w języku polskim, albo księgarnie o niej nie wiedzą. Jeżeli zaś weźmiemy tablice niemieckie, francuskie i duńskie (po niemiecku wydane), z przerażeniem ujrzymy, że w każdej z nich inny jest stosunek składników podstawowych poszczególnych artykułów spożywczych: białka, węglowodanów, tłuszczu, części mineralnych i tych właśnie witamin. Niektóre tablice mówią o witaminach wogólności, inne dzielą je na trzy grupy; inne jeszcze — na znacznie więcej.

Powstają więc odrazu poważne wątpliwości: czy można wierzyć tym uczonym źródłom? lub też druga: może rośliny i owoce, w różnych warunkach hodowane, mięso zwierząt, w różnych warunkach chowanych — zupełnie się różnią pomiędzy sobą? A w takim razie ułożenie przez chemików specjalnej tablicy polskiej staje się jeszcze bardziej aktualne, bardziej potrzebne, gdyż chyba pod Paryżem wyhodowany seler, ważący pół kilo i gładki, jak jabłko, ma skład inny, niż nasz seler podwarszawski, z trudnością osiagający dziesięć deka wagi i cały drobnymi korzonkami, niby włosiem, obrośnięty. Taż sama różnica musi istnieć między częściami składowymi olbrzymiej białej kalwili francuskiej i małym, twardym, gorzkokwaśnym jabłuszkiem, jakie my zużywamy do kuchni w drugiej połowie zimy.

Nie mogąc więc korzystać ze źródeł naukowych, musimy się zwrócić do źródeł praktycznych. Mamy wprawdzie w języku polskim książkę, wydaną w Krakowie, z całym szeregiem przepisów dań nie-

gotowanych, cała uwaga jednak w niej jest zwrócona na surowiznę pokarmów, a nie na witaminy, w nich zawarte. Podobno często, a nawet zawsze prawie, jedno z drugim w parze chodzi.

Próbowałam niektórych kombinacji—przyznaję się, że niedużo, bo jakoś zgóry smakowo nie wzbudzały we mnie zaufania. Kombinacje owocowe i jarzynowe były jadalne; natomiast ryż, rozmoczony na mączkę, wchodzący w skład paru z nich, okazał się tak okropny, że postanowiłam nadal zaprzestać prób i mączkę ryżową pozostawić jej właściwemu przeznaczeniu, to jest użyciu, jako krochmal, do sztywnej bielizny.

Zupełnie inne wrażenie robi leżące przedemną (niemiecka, niestety) książka o pokarmach witaminowych i ich przyrządzaniu. Jako najbardziej w witaminy obfitujące produkty, wskazuje ona: świeże owoce, zielone sałaty, świeże, młode jarzyny, świeże masło, śmietanę, śmietankę, mleko, świeże jaja i miód pszczelny. Zamiast chleba pyłowego i bułek białych, poleca ona chleb razowy żytni i pszenny, przygotowany z całych, grubo tylko mielonych ziarn zbożowych, co nam obecnie wszyscy lekarze też zalecają.

Nie wchodząc w szczegółowy rozbiór wszystkich rodzajów dań z tej książki, sądzę, że niektóre ich grupy trafią do przekonania polskich gospodyń i dadzą się zastosować w codziennych jadłospisach, a wielu nawet osobom, szczególnie dzieciom, przypadną do smaku. Wiemy bowiem, jak dzieci chętnie zjadają wszelką surowiznę, jak pilnować należy, żeby nie jadły niedojrzałych owoców, różnego zielska, nie objadały się surową marchewką, rzodkiewkami, szczawiem, ogórkami, i temu podobną zieleniną, kiedy się dostaną do ogrodu, gdzie to wszystko rośnie.

Otóż sądzę, że rozmaite surowe jarzyny, dotąd tylko gotowane w polskiej kuchni, jak to: szparagi, marchewka, kalafjory, groszek zielony, buraczki, uszatkowane cienko, zmieszane z innymi i u nas na surowo jadanymi jarzynami, jak: sałaty wszelkie, rzodkiew, rzodkiewki i t. p. z owocami, jak jabłka, śliwki — utarte na tarce i zaprawione dobrą oliwą, sokiem cytrynowym, a nawet sosem majonezowym — mogłyby wyśmienicie powiększyć ilość sałat i sałatek, podawanych przy obiadach i kolacjach.

Nikt nie każe wyrzekać się odrazu wszelkich dań mięsnych i wogóle potraw gotowanych. Chodzi o próby, wykonywane przez gospodynie, mające wysoce wyrobiony zmysł smaku. Jeśli ich sałaty z jarzyn surowych okażą się smaczne, — może zyskają sobie prawo obywatelstwa, jakim się cieszą oddawna rzodkiew szatkowana lub tarta, sałata z pomidorów, dodatek surowej cebuli lub tartych czy krajanych jabłek do rozmaitych już znanych sałat.

W Nr. 19 „Bluszczu“ podałam kilka przepisów, które wydają mi się zupełnie możliwe; panie, interesujące się wprowadzeniem największej ilości wi-

tamin do codziennych jadłospisów, powinnyby wypróbować te kombinacje i wydać o nich swój sąd.

Jeżeli zjadanie jarzyn na surowo może wywołać pewne zastrzeżenie, to chyba wszyscy się zgodzą, że gotowane kompoty można latem zupełnie, a zimą częściowo, zastąpić przez sałatki z owoców na surowo. Jeżeli do tych sałatek dodamy bitą śmietanę, tak zwykle towarzyszącą poziomkom i malinom, lub zaciągany żółtkami i zaprawiony wanilią sos mleczny czy śmietankowy — najwięksi grymaśnicy i smakosze przyznają, że owoc surowy, byle dobrze dojrzały, jest smaczniejszy od najlepiej ugotowanego.

Niestety, ananas jest u nas owocem zabronionym do wwozu (gdzie się podziewają ananasy z krajowych, przed wojną licznych ananasarni?), lecz kto raz spróbuje ananasa po amerykańsku, czyli z bitą śmietaną z cukrem i wanilią, ten powie napewno, że dotąd nie wiedział, iż ananas może być aż tak smaczny!

Pani Elżbieta.



SZNYCLE CIEŁĘCE SZPIKOWANE.

Z pół kilo cielęciny od dyszka (waga bez kości) ukrajać sześć równych sznycli, zbić je mocno, nadać zgrabny kształt; niech tak poleżą na talerzu godzin parę. Sznycle, wybijane przed samem smażeniem, kurczą się i kształt tracą. Dziesięć deka wędzonej słoniny, lub surowego, wędzonego boczku pokrajać w cienkie paski. Naszpikować tem gęsto sznycle, aby oba końce paska słoninki wychodziły w sznyclu z jednej strony; osiąga się to, jakby cerując sznycel szpikulcem. Usmażyć sznycel na zrumienionem maśle, dopiero smażąc, osolić. Na każdym sznyclu położyć po pół jajka, ugotowanego na twardo, na jajku po pasku rybki „anchois“, lub „appetit-sild“ (są już wyrabiane w kraju). Do masła, pozostałego na patelni, wlać pół szklanki wody i wsypać na koniec noża suchej, angielskiej musztardy, zagotować mocno i polać sznycel tym sosikiem. Do sznycli tych podać przysmażane kartofelki.

MOSTEK CIEŁĘCY Z PIECZARKAMI.

Mostek cielęcy ugotować ze sporą marchwią i pietruszką, jak zwykle na rosół. Wyjąć z niego wszystkie kości (miękkie chrząstki pozostawić), po-

krajać na zgrabne kawałki. Na kilo mostku odgotować oddzielnie na sypko dziesięć deka ryżu. Cwierć kilo pieczarek oczyścić, pokrajać w cienkie płatki, podsmażyć lekko w łyżce masła. Do foremki ogniotrwałej, wysmarowanej masłem, układać rzędami ryż, cielęcinę i pieczarki, wyjęte z masła. Na patelnię z resztą masła od pieczarek wsypać łyżkę mąki, zasmażyć, rozprowadzić szklanką rosółu ostudzonego, zagotować, dodać dwa żółtka, rozbite z paru łyżkami słodkiej śmietanki, lub niezbianego mleka. Wymieszać, nie gotując. Sosem tym polać cielęcinę, obsypać grubo tartym, ostrym serem i wstawić na kilka minut w gorący piec. Gdy ser się rozpuści, natychmiast podawać. Obie te potrawy są dobre dla osób, które cielęcinę, przyrządzoną w zwykły sposób, niechętnie jadają, uważając ją za zbyt mdłą. Resztę rosółu, — a z kilo cielęciny możemy go ugotować 5 kwaterok, czyli pozostanie cały litr — użyć na zupę, lub podać z kluseczkami.

SZPARAGI POD BESZAMELEM.

Drobniejsze i połamane szparagi oczyścić dokładnie z włókien i pokrajać w dwucentymetrowe kawałki. Zalać wodą, aby tylko objęła, włożyć na pół kilo szparagów łyżkę masła, łyżeczkę (od herbaty) cukru i tyleż soli. Dusić wolno, aż szparagi zmiękną, a woda do połowy się wygotuje. Łyżkę masła zasmażyć z łyżką mąki, nie rumieniąc, rozprowadzić szklanką zimnej śmietanki, lub niezbianego mleka i sosikiem, który się uformował przy duszeniu szparagów. Zagotować razem, włożyć w ten sos szparagi, rozegrzać razem, przełożyć na półmisek i polać masłem zrumienionem z bułeczką.

MLECZKO KAWOWE.

Na pół litra niezbianego mleka pięć jaj, pięć naście deka cukru i ćwierć szklanki najmocniejszej kawy, ugotowanej z dwóch deka czystej „mocca“ bez domieszki lub cykorji. Ubić jajka doskonale z cukrem, rozprowadzić przegotowanym i ostudzonym

mlekiem, na koniec dodać kawę. Nalać tem 6—7 filiżanek od kawy. Ustawić je na głębokiej brytfance, podać do wysokości pół filiżanki wodą i wstawić pod blachę. Powinny od spodu się gotować, od góry zapiekać jednocześnie. Próbować ostrożnie nożem; gdy masa się zetnie, wyjąć i podawać gorące lub zimne, zawsze w tych samych filiżankach. Można też to mleczko zapiec w jednej większej foremce porcelanowej, fajansowej lub kamiennej. Foremka, zanurzona do połowy w wodzie, nie pęknie w gorącym piecu.

Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE

Pani M. Sz. O kursy gospodarstwa kobiecego niech Sz. Pani napisze do centralnego Tow. Rolniczego: Warszawa, Kopernika 30 — sekcja Kół gospodyń wiejskich, albo wprost do Zarządu Julina (poczta Łochów), gdzie się takie kursy odbywają, do dyrektora pana M. Trybalskiego.

Biblioteczka wychowawcza Dziecka i Matki będzie się składała z książek, wychodzących w pewnych stałych terminach, niezależnie jedna od drugiej, w cenie od 1 zł. 50 gr.

Pani M. M. — *Norwy Dwór*. Formą służyć możemy w cenie 1 zł. 50 gr.; po otrzymaniu należności w znaczkach pocztowych albo przekazem, wysłamy ją natychmiast. Maść żądaną robi się na podstawie wosku i oleju lnianego, dobrze razem rozartych. Takiej maści gotowej dostanie Sz. Pani w sklepie firmy Ulrich: ul. Sienkiewicza 11.


ODCZYTY Z HIGJENY SPOŁECZNEJ

W czasie od dnia 14—31 maja Państwowa Szkoła Higjeny organizuje cykl odczytów z higjeny społecznej dla kobiet, których działalność zawodowa lub społeczna ma styczność z zagadnieniami zdrowia publicznego.


Odczyty w liczbie 15 zostaną wygłoszone w Państwowej Szkole Higjeny przez prelegentów-specjalistów i dotyczą spraw ruchu ludności, śmiertelności niemowląt, dietytyki, wychowania higienicznego, wychowania fizycznego, higjeny pracy, walki z ostreimi chorobami zakaźnymi oraz walki z chorobami społecznymi, jako to: gruźlica, choroby weneryczne i alkoholizm.

W ostatnim odczytzie Dr. W. Chodźko, b. minister zdrowia publicznego, ujmie zagadnienie zdrowia publicznego z punktu widzenia społeczno-ekonomicznego.

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
 SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
 I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
 APTEKA A. GAŚCECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.



HEMOROIDY CZOPKI HEMOROIDALNE „VARICOL”
 USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWAWIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZEDAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
 APTEKA A. GAŚCECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
 ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”



WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
 Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA OKOŁÓW
 Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.
 Druk: Łódź, Druk. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”. Rybnicka 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

O co wołają kresy!

Chcę dziś opowiedzieć droгим, dalekim czytelnikom — o sąsiadach naszych — o ludzie białoruskim, z którym wiąże nas wspólność pracy i trosk, przeżywanych bez końca — a który — jak młody brat — wydziedziczony z łask życia — drogi nam stał się i bliski.

Otóż, chociaż gmina nasza należy do najbiedniejszych w pow. Słonimskim — głównie z powodu piaszczystych pól, ciągnących się w szachownicę, sznurami, długimi nieraz na kilka km. — sytuacja materialna ludu nie przedstawia się tak rozpaczliwie, ponieważ straty, wynikłe z bezplonnej pracy na roli, wetuje sobie chłop tutejszy zarobkiem przy zwózce drzewa, tak nieraz wysokim, iż dając możność oszczędzenia, prymitywnych zresztą, potrzeb — usprawiedliwia w zupełności zaniechanie zajęć gospodarskich, widoczne na półkach, leżących odłogiem, a zamiennych w liche pastwiska¹⁾.

Ledwie świt zabieli przestwór nieba, rozlega się w ciszy monotony turkot wozów, a zimową porą — skrzywienie sani. Zarbek osładza wieśniakowi znoyny trud o chłodzie i głodzie, dając młodym możność kulturalnego — nawet zamożnego — wyglądu w niedzielę i święta.

„Łapcie“, owszem, widzi się nieraz — noszone są jednak przez starszych, raczej dla wygody i tradycji — niż z braku pieniędzy na obuwiu. Dziewczęta wyglądają zdala, jak różnobarwne motyle — błyszcząc w słońcu jedwabiem bluzek i lakierkami. Jak tam jest pod wierzchniem ubraniem, to inna kwestja. Mówi się wiele o braku elementarnych zasad higieny, o lenistwie wprost przysłowiowym tutejszych dziewczoi, które nie cerują podartej bielizny — „bo jej i tak nikt nie widzi“! Lepiej, gdy minie dzień, pracowicie spędzony przy kołowrotku, zatańczyć wieczorem w takt dźwięków klasycznej harmonji, którym wtórują rubaszne, dalekie od wstydlivej skormności, żarty. W ciszy nocnej, zwłaszcza po świątecznym dniu, rozlegają się wrzaskliwe, chrypliwym pijackim głosem nucone piosenki, których treści ucho stara się nie słyszeć, nie rozumieć.

I w dalszym ciągu krzyki dziewcząt, szamotanie skłóconych w jednej chwili „towariszczy“, wymierzających sobie nożami sprawiedliwość — co zwykle kończy interwencja policji, wkraczającej również na terytorjum zabaw i wesel. Te ostatnie, u najbiedniejszych nawet huczne są i zasobne w wódkę, braną całemi pakami po kilkadziesiąt flaszek — na kredyt,

za pieniądze, uzyskane ze sprzedaży krowy — lub kilkumiesięczny zarobek. Potem słowiańskie w tym wypadku „jakoś to będzie“ osładza chwile głodu — a zresztą młodzi sami sobie muszą poradzić. Tak zwane „wiano“ streszcza się głównie w mniejszej lub większej ilości dziesięcin pola i żywym dobytku, nie obejmując prawie zupełnie sprzętów domowych — po za stołem, długą ławą i kilkoma garnkami — nie znanych, zda się, tutaj i niepotrzebnych.

Na „pieczone“²⁾ ogromnej, zajmującej pół izby, sypia zwykle cała rodzina — nie rozbiegając się w większości wypadków weale — okryta wierzchniem odzieniem. To też rankiem duszno w izbie od wyziewów ludzkich i zapachu niewybrednej potrawy, gotowanej raz na dzień, niewiele się różniące od pożywienia dla bydła. Gotowanie odbywa się w piecach chlebowych — w specjalnie do tego rodzaju gotowania przystosowanych naczyniach żelaznych; podobne do przedhistorycznych ognisk.

Na pierwszy rzut oka, gdy się obejmie ciemną od brudu czeluść, imitującą mieszkanie ludzkie, budzi się myśl o nędzy, o braku — budzi się litość dla tych parjasów, nie wiedzących, co to radość życia. Tymczasem rzeczywistość jest zupełnie inna. Bowiem niespodzianie z za przepierzenia wychyla głowę krowa — jedna i druga — w sieni, w śmieciach, grzebie nierogaczina. Z rozmowy dowiadujemy się, iż gospodarz wyjechał własnymi końmi do lasu. Dalszy fakt. Sekwestrator wyprowadza „za podatki“ jakąkolwiek sztukę żywego inwentarza — w ostatniej chwili, znowu niespodziewanie, znajdują się pieniądze, wyjęte gdzieś z za „ikon“, lub nakształt obrazków, schowane w książce.

Często na jarmarku wieśniak, ubrany, jak ostatni żebrak — kupuje konia za 1000 i więcej złotych.

Obecność przy domach np. ustępu — wydaje się tutejszym prymitywnym umysłem czemś zgoła niepotrzebnym — poprostu zamachem na kieszeń i czas! To też gdy niedawno rozkaz min. Składkowskiego dotarł i do naszych zapadłych okolic — popularyzowany kategorycznemi zresztą nakazami policji — pod jej nieustannym nadzorem powstały przy domach małe klatki, którym praktyczność chłopska wyznaczyła inne — z ogólnie przyjętemi obyczajowo, tragicomicznie sprzeczne cele. Chowa się w nich, bo-

¹⁾ Osadnicy muszą karczować i uprawiać całą działkę, tem bowiem uwarunkowane jest otrzymanie kredytów i utrzymanie się w posiadaniu ziemi.

²⁾ rodzaj szerokiego przypiecka.

wiem, mniejsze sprzęty gospodarskie, by nie mokły na deszczu!

Naturalnie, że „babki“, znachorzy i wszelkiego rodzaju czarownice — wykorzystują zbrodniczo nieraz ciemnotę biednej ludności — w rezultacie kobiety w kilka lat po ślubie tracą urodę i zdrowie, dzieci rosną wynędzniałe i blade, bez uśmiechu — patrząc na słońce wielewidzącami oczyma. I choć garną się one do szkoły — jakże chętnie! — brak odpowiednio rozległych lokali większość ich zmusza do pozostawiania w domu. (Czyż nie jest to jednak „woda na młyn“ czynnikiem, wrogim polskości — wielkie pytanie, nad którym wartoby się zastanowić!).

W duszy starszego pokolenia drzemią prasłowiańskie przymioty, zwracające nas w zaranie dziejów naszych. Oto chaty przeważnie starodawnym zwyczajem nie mają zamków, są jeno przymknięte od zewnątrz. Kradzież nie zdarza się wcale między bliskimi sąsiadami, i wogóle w danej wiosce sprawcami wypadków sporadycznych są najczęściej osobniki, przybyłe z dalszych okolic — nie rzadko ze środkowej Polski, o ile znajdzie się ktoś, mający „długie palce“ — wszyscy o nim w wiosce wiedzą i strzegą się, potępiając go tem samem w opinji ogólnej.

Trzeba także pamiętać, że ludność ta była podczas Wielkiej Wojny ewakuowana przez ustępujących Rosjan na tereny byłego ich imperjum — nie mogło to nie wyrzucić wpływu na psychikę jej wogóle — zwłaszcza na psychikę młodzi, bezkrytycznie zapalającej się do wszelkich „nowinek“.

Starsi ze zgrozą opowiadają przeżycia swe w Bolszewji, a ich ojcowie pamiętają jeszcze polskie „Ojciec nasz“ — szeptane bezzębniemi ustami, bo „tak maty uczyła“ — płaczą się przy opowiadaniu starodawnych skazek wspomnienia tradycyjne, unickiej ongi, cerkwi i „polskich czasów“, o których nie chce słyszeć, naszpikowany komunistycznymi paradoksami — wnuk. To też stosunek ludności miejscowej do nas — osadników — bywa najzupełniej indywidualny. Biegając po linii wzajemnego zbliżenia się i zbratania, nie wyklucza jednak prądów wrogich wogóle państwowości polskiej, które płyną z za bolszewickiej granicy i ciężkie warunki życiowe podają, jako dowód złych intencji polskich. Trwa tedy podziemna robota konspiracyjna w zaciszu, w tajemnicy, trując młode umysły, które o ileż chętniej przyjęłyby ewangelję miłości i braterstwa z serc, odczuwających ich niedolę.

Pisząc tak, nie myślę jednak o samej pomocy materialnej, — która, choć największa, byłaby tylko kroplą w morzu — ulżyłaby czasowo, nie usuwając podstawowej przyczyny panującego stanu rzeczy, którą jest — jak łatwo teraz wywnioskować — tylko ciemnota, nieznanostwo najprymitywniejszych wskazań kultury — tak widoczna, niestety, po dziesięciu latach restytucji granic polskich na wschodzie. Bo wiem to, co zostało uczynione — to za ledwie przeoranie twardej grudy pod siew, który w przyszłości — zależnie od czynników, jakie rolę dusz użyźnią i zasieją — okazać się może równie dobrze chwastem trującym, jak i złotochlebem ziarnem.

Że uprzedzenie do polskości wogóle i kultury zachodniej minęło — sprawili w przeważnej części właśnie osadnicy, za których przykładem i wieśniak tutejszy, sprzeniewierzywszy się odwiecznym tradycjom, próbuje uprawiać rolę, rzucać w nią nasiona, nawet z nazwy dawniej nieznane. Osadnicy organizują w ważniejszych centrach Kasy Spółdzielcze, Kółka Rolnicze i inne tym podobne instytucje społeczne. Ludność to widzi, uznaje, darząc zaufaniem poszczególne jednostki, wybierając do Rad Gminnych i t. d., i t. d.

I gdyby nie troska o chleb codzienny dla najbliższych — gdyby lepsze warunki życiowe!...

Jakże jednak oddawać się całkowicie pracy społecznej, gdy wszystkie siły i myśl wyęczać trzeba w kierunku samowystarczalności posiadanych środków do życia, które, niestety, zawsze wkońcu wykazują deficyt! Lecz to nie przeszkadza wcale patrzeć daleko i szeroko, zwłaszcza, że myśl, odczuwając niedolę białoruskiej braci — rozumuje trzeźwo, a synteza w bilansie możliwości budzi prawie trwogę. Tak mało bowiem, tak prawie nic nie robi się poza bezpośrednim oddziaływaniem osadników!

Szumna frazeologia, wypowiediana okolicznościowo z okazji zjazdu dostojników — dom ludowy, „założony pod naciskiem władzy“ — przedstawienia, urządzane w nim raz na pół roku — bez głębszej myśli przewodniej, i jeszcze kursa wieczorowe, zorganizowane przez nauczycielstwo — oto wszystko. Nie można powiedzieć, by nie było zrozumienia ważności sprawy, owszem, przecież w budżecie gminnym widnieje rubryka: „oświata pozaszkolna“ — opiewająca na kilkaset złotych. Jednak interpretacja jej celów i środków tak różna, że aż sprzeczna czasami. Oto restauruje się salę „Domu Ludowego“, zajęta zresztą za ledwie kilka razy w roku — gdy szkoła powszechna mieści się w tak małych ubikacjach, że ledwie dziesiąta część młodzieży w wieku szkolnym może korzystać z nauki!

To też na pierwszy plan, jako konieczność życiowa tu, na Kresach Wschodnich, wysuwają się dwa postulaty: 1) sprawa szkoły powszechnej, wyposażonej należycie i poprowadzonej w myśl zrozumienia jej doniosłości; 2) oświata pozaszkolna, którą należy wyodrębnić z zakresu działania nauczycielstwa, by tworzyła samodzielną instytucję społeczną.

Brak bowiem, niestety, ludzi, mających odpowiednie kwalifikacje, chęć i czas, potrzebny do całokształtu pracy społecznej — tak różnorodnej i bogatej, wobec coraz to szerszego jej rozwoju, obejmującego dzisiaj nie tylko intelektualno - moralną, ale i fizyczną stronę człowieka. Takie właśnie działanie, w myśl idei humanitarnych — broń Boże! polonizowania — konieczne jest tu, na Kresach; takie tylko może państwowości polskiej zbudować z piersi jej zamkniętych i świątliwych obywateli — bez różnicy wyznania i języka — mur nieprzełamany — utrwalający wschodnie granice.

Więc do tej nadobowiązkowo, dorywczo, bez programu spełnianej pracy — trzeba powołać rzesze energiczne, któreby miały czas, i zapal, i fachową wie-

dzę, któreby chciały pracować z entuzjazmem, praktycznie i jaknajprędzej!

Wiem, że istnieją uczelnie dla pracowników społecznych, wiem jednak także, iż ci, kształcący się gdzieś w Warszawie, Poznaniu i Krakowie — marzą o pracy przede wszystkim w miastach — bo tam zresztą istnieją odpowiednie etaty, które na prowincji wywalczyć trzeba nieraz lata całe. Nie zbyt cennym tedy chyba będzie mój głos — naprawdę wołający na puszczy — prośba, by któraś z pań - posłanek zawczasu poruszyła w sejmie tę kwestję pierwszorzędnej wagi — tak palącą, iż bagatelizowanie jej, będąc największą krzywdą białoruskiej braci naszej — może jednocześnie przynieść niepowetowaną szkodę Rzeczypospolitej!

A może wtedy nie ulęknie się jakaś dzielna pracowniczka społeczna „zapadłej prowincji“ i zechce pod biedne tutejsze strzechy nieść w twórczym, ofiarnym trudzie światło i ciepło!

Tem więcej, że młode, gorące serce znajdzie w tej pracy wszystko — bo i cel humanitarny, i dobro największego naszego skarbu — Ojczyzny.

Zofja Persomska — Byteń.

Jeszcze o małżeństwie.

„Gdyby młodzi chcieli i umieli korzystać z doświadczenia tych, poza którymi leży życie...“ — pisze pani W. Dobrzańska w Nr. 15 „Bluszczu“ w artykule p. t. „Małżeństwo“.

Biorę za punkt wyjścia myśli, zawarte w tem zdaniu — jako że życie leży już poza mną — i trzydzieści sześć lat pożycia małżeńskiego.

Oczekiwałam odpowiedzi czytelniczek na treściwy artykuł p. W. D. Niech się wypowiedzą młode. Odpowiedź nadeszła tylko jedna. Wiadomo, że nie można pisać historii, przeżywając ją... nie można zdobyć się na obiektywizm tam, gdzie wchodzi w grę osobiste — własne przeżycia. Albo jedna, albo druga strona zostanie pokrzywdzona.

Nie wymagajmy za wiele od kobiet — problem nieszczęśliwych małżeństw obarcza i stronę drugą i tylko z tego punktu widzenia rozwiązany być może.

Nie mam zamiaru moralizować, ani podawać wskazówek — tembardziej kusić się o rozwiązanie tak zawiłej sprawy.

Wiem z doświadczenia, że każdy z młodych — i dawniej, i dziś — jest za wielkim miłośnikiem wolnej woli i ceni swą indywidualność. Jest to zaślepieniem młodości, ale i jej cechą dodatnią. Każdy musi sam życie przeżyć — i tylko w chwilach załamywań wolny jest wstęp dla doświadczenia starszych — czego nigdy nie omieszkamy wykorzystać. Tyle naszego.

A więc chodzi mi tylko o podzielenie się z czytelniczkami zdobytą obserwacją życiową: gdzie należy szukać przyczyn nieszczęśliwych małżeństw — i jedną z nich chcę podjąć, jako że uważam ją za najważniejszą i obydwie strony obowiązującą.

Patrząc bacznie okiem na rwące się małżeń-

stwa, przychodzę do wniosku, że powodem — jak i we wszystkich objawach życia dzisiejszego — jest: *osłabienie woli*, linja najmniejszego oporu, jak często się mówi. Ujawnia się ona i przy zawieraniu małżeństw, nieraz karygodnych, z powodu nieodpowiedniego poziomu intelektualnego czy umysłowego — a potem, brak woli w ponoszeniu odpowiedzialności za swój czyn — a więc rozwód.

Żyjemy w czasach zmagania się nowych wartości ze starymi (obyśmy nie przeoczyli, że nie wszystko, co stare — jest złe!) Ewolucja ta jest koniecznością dziejową; nie w naturze nie stoi na martwym punkcie — a że człowiek jest częścią natury, więc podlega ewolucji i najżywotniejsza sprawa jego życia osobistego... Szukamy nowych dróg, błądzimy po omacku. Kaleczymy się... i znaleźć nie możemy!

Cel? Szczęście osobiste.

Każdy człowiek ma do niego prawo i dążyć powinien do szczęścia w małżeństwie. Tylko, że każdy chce go znaleźć pod swoim kątem widzenia i ucieleśnione w jednej osobie: mężu, żonie — nie licząc się z realnością życia... A nie znajdując, zmienia się mężów, żony i — wpada się powtórnie, co wytwarza chaos, deprawację uczuć — sprzedajność... dziś ten, jutro tamten — poniewierkę przysiąg, danych na ślubnym kobiercu — frymacerzenie religiją. Byle znaleźć wymarzone szczęście, bardzo indywidualnie pojęte — a kruche, jak gałązka, na której ptak siada... tylko, że on nie boi się upadku — bo wie, że ma *skrzydła* (jak trafnie przytoczyła p. W. D. w wierszu W. Hugo). A nam tych skrzydeł brak — i załamuje się pod nami życie!

Trzeba zrozumieć jedno — że ludzi idealnych niema na świecie. On ma takie wady, z którymi trudno mi żyć — a ja mam takie wady, z którymi jemu ciężko żyć. Tylko, że ja więcej krzyczę, a on — wymyka się z domu.

Gdybyśmy chciały zrozumieć głębię słów apostoła: „*Jedni drugich ciężary znoście...*“ — byłaby kwestja rozwiązana — choć w połowie.

Do tego jeszcze daleko. Mężczyzna nie czuje w nas poważnej towarzyszkę życia. Nie myślcie jednak, kochane czytelniczki, że jest już aż tak źle, żeby i dziś nie było małżeństw, które określamy jednym słowem: „*ach! to wyjątkowe*“. A ile tam mieści się chwil ciężkich, wysiłków, ustępstw wzajemnych!... To tylko oni wiedzą — dla was to niewiadome; wy tylko widzicie spokój domowy i — szczęście.

Tak, szczęście, wykute dobrą i silną wolą wzajemną.

O brak tej woli rozbijają się dzisiejsze małżeństwa.

Serweryna Dzieciolowska.

O praktyki religijne w szkołach (w odpowiedzi Katoliczce z Sandomierza).

Podając niniejszy artykuł na łamy „Naszej Mównicy“, nie mam na celu wdawania się w polemikę ani zwalczania zdania Sz. Pani, wypowiedzianego w odpowiedzi p. Ferencowi w Nr. 17 „Bluszczu“.

Uważam jednak za miły obowiązek stanąć w obro- nie członków Zw. P. N. S. P., wobec zarzutu, postawio- nego przez Panią 38 tysiącom nauczycieli, należących do Związku P. N. S. P.

Myli się Sz. Pani, mniemając, iż Zw. P. N. S. P. występuje przeciwko religji i ruguje ze szkoły kultu- rę religijną. Na szczęście, tak nie jest! Zw. P. N. S. P. stoi i stać będzie zawsze na straży ideologii szkoły polskiej, która stopień swego rozwoju zawdzięcza pra- wie wyłącznie znoej pracy członków tegoż Związku, tych iście niestrudzonych szermierzy na polu oświaty i kultury społecznej.

Od lat dziewięciu czytam pismo związkowe p. t. „Głos Nauczycielski“ oraz dodatek miesięczny: „Pra- ca szkolna“, ale prócz wzniosłych myśli, pięknych przykładów i wzorów pedagogiczno - dydaktycznych, nie dostrzegłam nic takiego, co sprzeciwiałoby się za- sadom religijnego wychowania, które idzie zawsze w parze z nauką szkolną. Gdyby tak było, to sama, będąc gorliwą katoliczką i nauczycielką z powołania, zrezygnowałabym z legitymacji członkowskiej.

Pragnąc uwolnić się od chodzenia z działyw na praktyki religijne, nie zrzekamy się obowiązków wy- chowania chrześcijańskiego w szkole. W tym wypad- ku stoimy jedynie na stanowisku praw nauczyciela - człowieka, któremu z prawa boskiego i ludzkiego słusznie należy się siódmy dzień odpoczynku, po ty- godniowem mocowaniu się, często nad siły, z brze- mieniem pracy, utrudnionej nieraz bardzo ciężkimi warunkami, jakich dostarczają fatalne lokale szkol- ne, brak elementarnych warunków kulturalnego ży- cia — rzeczy aż nadto dobrze znane i omawiane wie- lokrotnie.

Nauczycielce, prowadzącej cztery oddziały, zło- żone ze stu i więcej dzieci, należy się bezwzględnie jeden chociaż dzień zupełnego wypoczynku.

Wybaczcie, kochani Rodzice! ale sił nam brak... nie możemy inaczej!

Podzielam tu zdanie p. Ferencza, iż z równem po- wodzeniem rodzice mogą prowadzić swe dzieci do ko- ściółki i służyć im przykładem pobożnego czynu, gdyż ten obowiązek należy wyłącznie do rodziców z prawa samej natury.

Przypuszczam, że wszelkie nieporozumienia, za- chodzące między rodzicami a nauczycielami, wypły- wają z braku bliższego kontaktu w sprawie wycho- wania, które winno być podzielone między rodzicami a nauczycielami, gdyż ci ostatni bez pomocy nie po- dołają zadaniu, mając przy sobie swych wy- chowanków zaledwie przez trzy do pięciu godzin na dobę. Ogółem biorąc: sprawa ta pozostawia dużo do życzenia. Przedewszystkiem — potrzebne jest, wła- śnie, wzajemne porozumienie się rodziców z człon- kami Zw. P. N. S. P.

Wanda z nad Prosną.

Trochę przepisów na niedołęstwo (w odpowie- wiedzii p. Stefani R.)

Czytając „Naszą Mównicę“, doznaję zawsze uczucia głębokiego rozradowania — jest to bowiem cudowne świadectwo: bogactwa i dojrzałości du- chowej kobiety polskiej.

Nieraz już pragnęłam i ja poruszyć którąś z nurtujących mnie spraw, lub wyrazić refleksje, wy- wołane przez tematy, przez Szanowne Panie opraco- wywane w „Mównicy“, lecz powstrzymywała mnie nieśmiałość, uzasadniona zupełnie, jeśli zważyć wy- soki poziom treści i formy owych artykułów. Tym razem jednak zdecydowałam się odezwać, ponieważ Szanowna Pani podjęła kwestję, która i w mojem życiu ważne zajmuje miejsce — a może też zechce Pani zużytkować moje skromne doświadczenie.

Wyobraźmy sobie zatem głuche, zapadłe mia- steczko, o jakim mówi Szan. Pani, a gdzie, jak pi- sze Żeromski, „miesiącami nic się nie dzieje“. Może nawet wegetuje w niem pewna ilość Towarzystw czy Związków, pogrążonych w prostracji — tem go- rzej. Wśród ludzi — apatja, brak jakiegokolwiek ini- cjatywy, lenistwo ducha, a dokoła, jeśli tylko umieć patrzeć — ogrom pracy.

Radziłabym z całego serca kochanej Pani, która ma widocznie wyrobione poczucie obowiązku pracy społecznej — nie oczekiwać od nikogo inicjatywy, ani może nawet wydatnego poparcia, zwłaszcza z początku — uzbroić się w ogromną dozę cierpliwo- ści, wytrwałości i trwałego zapału i — przystąpić do dzieła natychmiast! Dobrze wystudjowane warunki życia lokalnego wskażą Szan. Pani, jaką drogą iść należy, aby może w bardzo a bardzo skromny narazie sposób, lecz zato celowo — przystąpić odrazu do „powinności społecznej“.

A więc może przydałaby się np. świetlica dla młodzieży rzemieślniczej, a już najpewniej — orga- nizacja opieki nad dzieckiem. Te dwie instytucje najbardziej może podobają się w takim miastecz- ku, a więc ich projekt podjąłby członkinie orga- nizowanego przez Panią stowarzyszenia. Dobrawszy sobie osoby, mogące być pożytecznymi, sprosić je np. do sali szkoły i cały projekt przełożyć. Radzi- labym tylko Szan. Pani unikać wszelkiego zdraśnię- cia ludzkich ambicyjek, uwzględnić w zaproszeniu wszelkie warstwy społeczne; odrazu kłaść wielki nacisk na porządną rachunkowość i książkowość wszelaką i wreszcie „kuć żelazo, póki gorące“.

Nawet osoby, nieinteresujące się sprawami spo- łeczными, dadzą się pociągnąć zczasem przez sekcję dochodową (imprezy zabaw!) T-wa. A w miarę jego rozwoju, gdy się członkowie zbliżą i poznają, dały- by się stworzyć rodzaj „klubu“ z biblioteczką wła- sną i tak miłemi wprost koleżeńskimi stosunkami, które się przy wspólnej pracy jednak wyrabiają.

Pisząc do kochanej Pani, w której zgaduję po- niekąd koleżankę w takiej pracy — pozwalam sobie na ton tak poufały, iż dodam, że do obu powyższych (i wszelkich wogóle instytucyj społecznych) należy mieć regulamin lub statut, przyjęty przez walne zgromadzenie członków i zatwierdzony w Staro- stwie; bliższymi szczegółami mogłabym służyć na żądanie, bo prowadziłam już tę skromną pracę. I je- szcze serdecznie, najszczerej radzę kochanej Pani — nie zwlekać. Może i na miejscu wiele osób lepiej spełniłoby tę pracę, lecz — nie stają do niej — a przecie ugor życia naszego społecznego i do nas zarówno — o siew woła! *N... z Siedleckiego.*